

# odgłosy



42 (726)

17. X. 1971 r.

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. A. Jankowski

KONRAD FREJDLICH

## Sezon Z wyobraźnią

DLA każdego, kto żyje w Polsce stało się jasne, że słowo: odnowa, które zrobiło tak ogromną karierę w ciągu kilku miesięcy bieżącego roku, nie jest jeszcze jednym hasłem z dziennikarskiego żargonu, ale że oznacza ogromny zespół przemian społeczno-politycznych, odpowiadających swym zasięgiem przynajmniej potocznemu znaczeniu tego wyrazu. Słowa przestały kłamać myślom, a myśli rzeczom. Zaufanie do rządzących tak ciężko zachwiane w ciężkie dni grudniowe znów oznacza po prostu zaufanie. Nie słyszy się ostatnio na przykład zupełnie kawałów politycznych, które zawsze były przeciw swego rodzaju problemem nastrojów opinii publicznej. I już choćby to wydaje mi się symptomatyczne, bo przecież trudno przypuścić, abyśmy nagle, z dnia na dzień stracili poczucie humoru. Humor nasz, ciężko przecież doświadczony w ostatnich latach, ustąpił miejsca poczuciu perspektywy.

Mam właśnie przed sobą publikację, która słusznie uchodzi za bestseller wydawniczy roku. Rzecz z pozoru niepojęta — ta poczytna publikacja jest przecież drukiem oficjalnym i nosi suchy, referatowy tytuł: „O dalszy socjalistyczny rozwój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, a więc należy do wydawnictw, które w poprzednim sezonie politycznym poznały się raczej z obowiązku.

Jak to się więc stało, że tym razem

Dalszy ciąg na str. 3

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ

## Twórczość Cypriana Norwida w Czechach

U TARLO SIĘ MNIEMANIE, ŻE CYPRIAN NORWID, DO KTÓREGO TWÓRCZOŚCI WSPÓLCZEŚNI MIELI STOSUNEK JUŻ NIE AMBIWALENTNY, ALE OTWARCIE I NIEMAL JEDNOMYŚLNIE NEGATYWNY, JEST NIEZNANY ZAGRANICĄ. TYMCZASEM I TA REGUŁA — JAKBY W MYŚL ZNANEGO PORZEKADŁA — MA SWĘ WYJĄTKI. TAKĄ WYJĄTKOWĄ POZYCJĘ W ZNAJOMOŚCI DZIEŁA POETY, KTÓREGO TWÓRCZOŚĆ JEST TAK BOGA-

TA I CIĘŻKA ŁADUNKIEM MYSŁOWYM, NOWATORSKA FORMALNIE, PREKURSORSKA I NIEMAL WSPÓLCZEŚNA W WYMAGANIACH WSPÓLKREACJI STAWIANYCH CZYTELNIKOWI, ZAJMUJĄ CZECHY,

Nazwisko Norwida znalazło się po raz pierwszy na łamach czeskiego czasopisma jeszcze za życia poety, w roku 1864. Wtedy to Josef Vaclav Fricz, czeski radykalny demokrat, przebywający na emigracji w Paryżu, pisał dla redagowanej przez poetę Jana Ne-

rudę *Rodzinnej Kroniki* (*Rodinná Kronika*) „Listy o Słowackim” — jedno z pierwszych czeskich studiów poświęconych autorowi „Lilli Wenedy”. Fricz, mając wśród emigrantów polskich szerokie znajomości, znał również Norwida, czytał jego wykłady „O Juliuszu Słowackim”, zbierał od niego wiadomości o życiu wielkiego romantyka. Mimo tego osobistego kontaktu, Fricz, który wobec twórczości Słowackiego potrafił zdobyć się na sądy samodzielne, na Norwida patrzył przez pryzmat opinii panujących wśród emigrantów polskich i widział w nim tylko dziwaka. W „Listach” określił go jako „postrzelonego komentatora Słowackiego”. O tym zaś, że informator jego był również poetą, nie wspominał zupełnie.

Tak więc odkrycia twórczości Norwida miało w Czechach dokonać dopiero — podobnie jak w Polsce — pokolenie wnuków,

Pierwsze, jak się wydaje, wiadomości o przywróceniu utworom Norwida należnego im miejsca w literaturze polskiej przyniosło pismo *Słowiański prehled* (*Przegląd Słowiański*) w roku 1905 w sprawozdaniu W. Feldmana z produkcji literackiej w Polsce za rok 1904. *Przegląd* wydawany przez znawcę i miłośnika literatury polskiej Adolfa Czernego, nie ograniczył się do wiadomości zawartych w artykule Feldmana i o Norwidzie informował jeszcze wielokrotnie, przynosząc także

pierwsze chronologicznie przekłady jego utworów.

Czeskie środowisko literackie czerpało wiadomości o Norwidzie również bezpośrednio ze źródeł polskich. Docierały tu bowiem tomy *Chimery* wydawanej przez Miriamę, który na terenie czeskim miał wielu przyjaciół i znany był w Czechach jako propagator czeskiej literatury (zwłaszcza twórczości Vrchlickiego i Zeyera). Te tomy właśnie przynosiły kolejne rewelacje twórczości Norwida.

Obok pisma *Czernego* literaturę polską interesowali się również literaci skupieni wokół organu czeskiej modernistów, czasopisma literackiego *Moderni revue*. Pismo to wydawane przez Arnošta Prochazkę w swych działach beletrystycznych śledziło twórczość o akcentach romantyczno-symboliczno-dekadencjonalnych, lansując postawy artystowskie, propagując indywidualizm anarchiczny, pojęty w duchu Nietzschego. Na łamach pisma czytelnik miał możliwość zaznajomić się z najnowszą literacką produkcją zagraniczną, zwłaszcza skandynawską i francuską, tutaj też formował się kult Przybyszewskiego, trwający w Czechach znacznie dłużej niż w Polsce.

Nic zatem dziwnego, że ludzie z tego grona literackiego, zwróciwszy uwagę na Norwida, którego w Polsce — wyolbrzymiając pewne aspekty jego twórczości — uznano za poprzednika modernizmu,

antycypującego tendencje aktualnie się rozwijające w sztuce.

Interesujący artykuł poświęcił polskiemu poecie J. Karasek w *Moderni revue* z r. 1907. Podkreślał w nim polskość, ale jednocześnie uniwersalizm utworów Norwida. Dostrzegając w jego pismach „oryginalny stop symbolizmu i realizmu, marzenia i przeżycia”. Bliski mu był „artystokracyzm ducha poety”, zachwycała oryginalność w zestawieniu z taką wielkością jak Słowacki. W pochlebny sposób zestawiał Karasek Norwida z Nietzschem i Maeterlinkiem.

Tak wysoka nota stawiana polskiemu poecie wywołać musiała potrzebę przekładów jego utworów. Podjął się tego już w następnym (1908) roku poeta Franciszek Kvapil publikując je w piśmie *Słowiański prehled*. Kvapil zaznajomił się z literaturą polską jeszcze na ławie szkolnej, dużo też z polskiego tłumaczył. W latach 1922–1933 ukazały się trzy tomy jego przekładów zatytułowane „Polska moderní poesie”. W pierwszym z tych tomów zamieścił publikowane w *Przeglądzie Słowiańskim* wiersze Norwida, wzbogacając wybór o kilka nowych przekładów.

Jako tłumacz Kvapil reprezentował „szkołę” Jaroslawa Vrchlickiego, który przyswoił Czechom bardzo wiele i bardzo różnorod-

Dalszy ciąg na str. 4





Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

## Między Marsem a Ziemią

(PRZEGLĄD PRASY ŚWIATOWEJ)

## Narkomani przy raketowej dźwigni

„SUNDAY TIMES” — LONDYN

Dwie podróże i — oczywiście — towarzyszące im rozmowy znaczący miniony tydzień w polityce międzynarodowej. Obie — w rejon, będące przedmiotem żywego zainteresowania. Przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR — N. Podgorny przebywał w DRW, premier rządu radzieckiego natomiast — A. Kosygin w Algierii oraz Maroku.

Obszerny wspólny komunikat o rozmowach wietnamskich przynosi ze strony Związku Radzieckiego pełne poparcie dla narodu Wietnamu przeciwko imperialistycznej agresji, wsparte porozumieniem o dalszej bezinteresownej pomocy, przyznaniu nowych kredytów oraz wymianie towarowej na lata 1972—73. Wietnam Północny — podkreśla komunikat — stanowi trwałe zaplecze w stosunku do wielkiego frontu — Wietnamu Południowego i dlatego szczególnie ważne jest wszechstronne umacnianie jego potencjału wojskowo-ekonomicznego.

Obie strony raz jeszcze podkreśliły, iż 7-punktowe propozycje Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego stanowią rozsądną i sprawiedliwą podstawę uregulowania problemu wietnamskiego.

Komunikat przynosi wsparcie walki narodów laotańskiego i kambodżańskiego.

Jeden z fragmentów wspomnianego dokumentu poświęcony jest konieczności „umocnienia zwartości przyjaźni i współpracy bratnich krajów socjalistycznych”. Obie strony wyraziły wolę „dokładania wszelkich wysiłków, ażeby przyczynić się do przywrócenia i umocnienia zwartości krajów socjalistycznych...”

Przedmiotem rozmów były również pokój i bezpieczeństwo w Europie, przywrócenie Chińskiej Republice Ludowej należnych jej praw w ONZ i usunięcie stamtąd czangkajszekowców, ośmiopunktowy program rządu KRL-D pokojowego zjednoczenia Korei, likwidację następstw agresji izraelskiej...

Wizyta przyjaźni N. Podgornego w DRW potwierdziła szerokie zainteresowanie Związku Radzieckiego sytuacją w Azji, w której ciągle mają miejsce burzliwe wydarzenia. Zainteresowanie to wynika ze współodpowiedzialności, jaką ZSRR — jako jedno z czterech wielkich mocarstw — ponosi za pokój na świecie.

Taki sens miała również druga podróż — premiera Kosygina, z jej najważniejszym etapem — Algierią. I tutaj mówiono nie tylko o stosunkach dwustronnych. Rola, jaką dla narodów Afryki spełnia Związek Radziecki, wynika choćby z takiego zdania komunikatu opublikowanego po wizycie: „Strona algierska oceniła wysoko znaczenie wkładu ZSRR do wzmaganja walki narodów przeciwko imperializmowi i kolonializmowi”.

Obie wizyty znalazły szerokie odbicie w komentarzach światowych, są bowiem kolejnym przykładem politycznej aktywności socjalistycznego mocarstwa.

A co zwracającego uwagę wydarzyło się w ostatnich dniach w Europie?

W pierwszej kolejności zatrzymajmy się na zjeździe w Saarbrücken, który przyniósł zmianę przewodniczącego CDU. Najważniejszymi kandydatami na to stanowisko byli: Kohl i Barzel, chociaż już przed zjazdem było jasne, iż szanse drugiego są znacznie większe. Tak też się stało. Dwie trzecie mówców opowiedziało się za Barzelem. W ich przekonaniu — właśnie on może zapewnić CDU zwycięstwo w wyborach w 1973 roku. Sam Barzel w swoim wystąpieniu programowym zapowiedział zaostrzenie walki opozycji przeciwko rządowi, i to nie tylko w polityce zagranicznej, lecz również wewnętrznej. W pierwszym przypadku Barzel podkreślił, że CDU prowadzi politykę antykomunistyczną, w drugim — poddał totalnej krytyce działalność społeczno-gospodarczą rządu.

Obserwatorzy nie wróżą Barzelowi łatwej walki. Postawił on wszystko na jedną kartę, która albo przyniesie pełne zwycięstwo, albo całkowitą porażkę. Przed tym jednak musi uporządkować wiele spraw w samej partii, która choć go większością głosów poparła — nie jest przecież jednolita. A jak pisze „Stuttgarter Zeitung”, „człowiek, który chce doprowadzić do porządku republikę — musi najpierw pokazać, że potrafi zaprowadzić ład w szeregach własnej partii”.

Wydaje się, że wybór Barzela przewodniczącym CDU przywróci jej pewność siebie, bardziej spolarzyze stanowiska wyborców wobec alternatywy: SPD czy CDU.

Tymczasem w Bonn, jak informują nasi korespondenci, nadal toczą się dyskusje na temat ratyfikowania przez Bundestag dwóch ubiegłorocznych układów: ze Związkiem Radzieckim i Polską. Mówi się, że jest to kwestia „kilku miesięcy”. Według przewidywań rządu Brandta, większość parlamentarna wypowie się za ratyfikacją, jeśli tylko w toczących się obecnie rokowaniach NRD — NRF powzięte zostaną zadowalające decyzje.

Rozpoczęliśmy od wizyt — zakończmy więc dzisiejszy przegląd wydarzeń zapowiedzią kolejnej. Paryż jeszcze w bm, powita sekretarza generalnego KPZR — Leonida Breżniewa. Do paryskich spotkań przywódców obu krajów już dziś przywiązuje się duże znaczenie. Jest ono uzasadnione zacieśniającą się współpracą radziecko-francuską.

W. SŁAWSKI



**DZIENNIK CHIRURGA**  
Obserwujemy modę na pamiętniki. Jest to bodaj jedyna z form zapisu mająca największe szanse przetrwania jako dokument epoki. Piszą stani wszyscy: mężowie stanu, dowódcy, dyplomaci, żołnierze, robotnicy, nauczyciele. Ostatnio coraz częściej sięgają po pióro lekarze. Właśnie ukazał się pokaźny tom pt. „Dziennik chirurga” napisany przez wybitnego naukowca, profesora, generała, naczelnika chirurga Armii Radzieckiej Aleksandra Wiszniewskiego. Ten swobodny notatnik był prowadzony od pierwszego do ostatniego dnia drugiej wojny światowej.

Być może, nie wszyscy z jednakowym zainteresowaniem przeczytają te lakoniczne, często surowe i ascetyczne zapiski, lecz przecież nie można pozostać obojętnym na heroiczny, często wręcz po-

pozwoła na wzbogacenie wiedzy o Ziemi (np. poznanie dynamiki atmosfery marsjańskiej może być nader przydatne dla ziemskiej meteorologii i klimatologii), wniosła ważki wkład do badań w dziedzinie pochodzenia i formowania się systemu słonecznego, a nawet, być może, dadza uczy-nym materiał, który posłuży do rozwiązania frapującej zagadki pochodzenia życia.

Uczonych już od dawna lntryguje tajemnica „kanałów marsjańskich”. Przez pewien czas przypuszczano nawet, że zbudowały je istoty rozumne. Jednakże na fotografiach powierzchni Marsa, wykonanych przez poprzednie stacje międzyplanetarne nie udało się ich ujawnić. Widać na nich rzeźbę powierzchni bardzo podobną do księżycowej (kratery i pierścieniowate góry). W związku z tym „Christian Science Monitor” zauważa: „Jeśli na radzieckich stacjach międzyplanetarnych znajduje się aparatura fotograficzna, to pozwoli ona Rosjanom na uwidocznienie nawet bardzo drobnych obiektów marsjańskich, bo o średnicy — ogólnie rzecz biorąc — 6 futów (1 fut = 30 i pół cm. — red.). Przy pomocy „Marinera-9” uda się, być może, sfotografować obiekty większe, o średnicy od 150 do 300 futów”.

„Radziecka ekspedycja na Marsa nastąpiła w ślad za udanym, miękkim lądowaniem radzieckiego statku kosmicznego na planecie Venus” — czytamy w tymże piśmie. Niewątpliwie ważnym faktem sprzyjającym lotom „Marsa-2” i „Marsa-3” było wystrzelenie w r. 1962 radzieckiej automatycznej stacji kosmicznej „Sonda-2”, na której umieszczono elektro-odrzutowe silniki plazmowe. Jako urządzenie uzupełniające aparaturę orientacji kosmicznej.

Szczególnie doniosłą rolę w badaniu planet — i w tym prasa światowa jest jednomyślna — odegrają: stacja międzyplanetarna „Luna-16”, która dostarczyła na Ziemię próbki gruntu księżycowego oraz radziecki „Lunochod”, który ma nieograniczone możliwości badania i poznawania innych ciał niebieskich. „Rosjanie mają bardzo efektywny program badań Księżyca i planet, o wiele bardziej szeroki od naszego” — powiedział Bruce Marrey, pracownik Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego.

Prawnie tylko prezydent USA może nacisnąć guzik i skierować do celu amerykańskie rakiety i samoloty bombardujące. Jednakże zarówno w lotnictwie strategicznym, jak i w wojskach raketowych USA dwóch ludzi — stale dyżurujących przy pulpicie dowodzenia — może rozpocząć wojnę atomową. Choć do służby w oddziałach dyżuru doбира się najbardziej pewnych ludzi, to jednak stwierdzono, iż niektórzy spośród nich zażywają narkotyki. Połączenie narkotyków z bronią jądrową — to tylko krok od obłoków w kształcie grzyba nad całą planetą.

Amerykański kongresman, John Murphy oraz ekspert w zakresie narkotyków, Carl Perin, mówią o szerokim rozprzestrzenianiu się narkomanii wśród załogi „Canopys”, pływającej bazy eskadry atomowych łodzi podwodnych, zakotwiczonej w Zatoce Sztetlandzkiej.

Po odwiedzeniu tej bazy stwierdzili oni, że marynarze posiadają ogromne ilości marihuany. Po tym nazwali nawet tę pływającą bazę „Cannabis” (tak w USA nazywa się narkotyki pochodzące od marihuany). Śledztwo na „Canopys” rozpoczęło po tym, jak kapral Wayne Walker poprosił o przesunięcie dyżuru na inną godzinę. Był on w składzie oddziału wartowniczego, w którym — jak twierdzi — narkotyki zażywali wszyscy. Śledztwo rozpoczęło w kwietniu tego roku wykazało, że narkomani z załogi „Canopys” mają dostęp do ściśle tajnych materiałów. Okazało się także, iż oprócz marihuany marynarze zażywają jeszcze silnie działający narkotyk — LSD, w dodatku nie tylko na lądzie, ale i podczas pełnienia służby na okręcie.

Z rozmów z marynarzami „Canopys” Parin dowiedział się, że narkotyki znajdują się w obiegu także wśród załóg łodzi podwodnych. Niektórzy spośród marynarzy zażywających marihuane mają dostęp do rakiet „Polaris” i do aparatury dowodzenia.

Już w październiku 1969 roku prowadzono dochodzenie w sprawie narkomanii na łodzi podwodnej „Natan Houel”. Rozpoczęło je po szoku nerwowym, któremu uległ jeden z marynarzy z powodu nadużycia narkotyków. Zażywanie narkotyków udowodniono 38 marynarzom, spośród 140 członków załogi. Dowództwo zachowało w tajemnicy zarówno ich nazwiska, jak i zajmowane przez nich stanowiska. Nie dało się jednak ukryć, iż w liczbie narkomanów znalazło się również 6 marynarzy, którzy przeszli i wytrzymałi tzw. specjalną „próbę na pewność”.

Jeden z marynarzy łodzi podwodnej „Natan Houel”, który później trafił do Wietnamu, opowiadał, że oddział

w którym służył, zażywał narkotyki podczas marszu.

— Palliśmy haszysz w przewodzie raketowym — opowiadał — gdzie system wentylacyjny wysysał dym na zewnątrz.

Marynarz ten wchodził swobodnie do kabiny sterowniczej wyrzutni rakiet. „Jest to nieduża kajuta — opowiadał — w której znajdują się przeróżne komputery. Pancerne drzwi tej kajuty ważą 70 kg. Urządzenie wyrzutni wygląda jak zwykły telefon, tylko zamiast tarczy z cyframi znajduje się na nim mała, czerwona dźwignia...”

Po incydencie w bazie lotnictwa strategicznego USA w Kalifornii, kiedy to policja aresztowała czterech lotników i dwóch mechaników za kontrabandę narkotyków, podkomisja Kongresu niejednokrotnie, ale bezskutecznie, próbowała zwrócić uwagę władz wojskowych USA na niebezpieczne rozprzestrzenianie się narkomanii wśród wojskowych. W bazie wojskowej na Florydzie zdarzył się wypadek braku koordynacji systemu naziemnego z systemem alarmu powietrznego: dyżurni nie włączyli go w ogóle. Niezwykle śledztwo wykryło fakty narkomanii nie tylko wśród specjalistów-operatorów, ale i wśród licznej grupy wojskowych w dywizjonie raketowym „Nike-Herkules”, strzegącym bazy.

Do odpowiedzialności pociągnięto wówczas 35 żołnierzy z dywizjonu „Nike-Herkules” — jest rakieta klasy ziemia-powietrze z głowicą jądrową.

Dowództwo bazy przyznało, iż 15 ukaranych żołnierzy bezpośrednio obsługiwało te rakiety, a 2 pełniło służbę przy urządzeniach naprowadzania rakiet na cel.

Eksperti wojskowi wiedzą oczywiście, jak wiele zależy od obsługi przy uruchamianiu rakiet z bronią jądrową. Dlatego właśnie ich uruchomienie oparto na ścisłym współdziałaniu dwóch ludzi. Ale jest ich tylko dwóch! Do oddziałów, które dysponują bronią jądrową doбира się ludzi bardzo starannie, odsiewa w badaniach i próbach psychoneurologicznych. Mimo to, po każdym ujawnionym wypadku narkomanii w wojsku, niepokój wybuchł z nową siłą, gdyż staje się jasne, że wszystkie programy kontroli są zawodne.

„Cóż robić” — powiadają przedstawiciele Pentagonu — narkomania zaważnęła amerykańskim społeczeństwem. Przenika ona i do wojska”. Jest to, niestety, prawda, jakby na nią nie spojrzeć. Narkomania sięga również po ludzi, dyżurujących przy wyrzutniach z bronią jądrową. Okropna, przerażająca prawda.

Zewsząd o wszystkim



**DZIENNIK CHIRURGA**  
Obserwujemy modę na pamiętniki. Jest to bodaj jedyna z form zapisu mająca największe szanse przetrwania jako dokument epoki. Piszą stani wszyscy: mężowie stanu, dowódcy, dyplomaci, żołnierze, robotnicy, nauczyciele. Ostatnio coraz częściej sięgają po pióro lekarze. Właśnie ukazał się pokaźny tom pt. „Dziennik chirurga” napisany przez wybitnego naukowca, profesora, generała, naczelnika chirurga Armii Radzieckiej Aleksandra Wiszniewskiego. Ten swobodny notatnik był prowadzony od pierwszego do ostatniego dnia drugiej wojny światowej.

Być może, nie wszyscy z jednakowym zainteresowaniem przeczytają te lakoniczne, często surowe i ascetyczne zapiski, lecz przecież nie można pozostać obojętnym na heroiczny, często wręcz po-

nadudzki wysiłek tysięcy pracowników medycznych pracujących w polowych szpitalach. Obok uwag odnoszących się do pracy personelu, do nie kończących się zabiegów chirurgicznych, znajdujemy ujęty w lapidarne zdania cały tragizm walczącego narodu, bohaterstwo i odwagę obrońców, front oglądany poprzez krew lejącą się w okopach i krew spływającą w czasie zabiegów operacyjnych. Wiszniewski pisze pod datą 21 lutego 1943 r. „Wszyscy oficerowie mają duże klopoty z nabywaniem narkotyków”. Koniec. Kropka. A jest to moment

ważny: wtedy po raz pierwszy wprowadzono w Armii Czerwonej narkotyk... Albo zapis 1 maja 1942 r.: „W skład naszego frontu weszły 54 i 8 armie. W ciągu dnia kilkakrotnie nadiatywały „fryce”. A obok tego dużo miejsca poświęcił autor sprawom polityki, wydarzeniom na arenie wojennej, rozmyślaniom, obserwacjom medycznym.

Całość została uzupełniona mapkami obrazującymi poszczególne działania wojenne walczących stron.

E. I.  
Aleksander A. Wiszniewski: DZIENNIK CHIRURGA 1941 — 1945. PZWL, 1971 r.



## DZIEŃ WOJSKA POLSKIEGO



H. Wróblewski: Lenino

**D**ZIEJE wojny wyzwoleniczej narodu polskiego zawierają wiele symboli bohaterstwa i poświęcenia. Główne z nich to bitwy stoczone nad Bzurą, pod Lenino, pod Monte Cassino, pod Falaise i Chambois. Wreszcie możemy do nich zaliczyć walki powstańczej Warszawy, bitwy o wał pomorski, forsowanie Odry i Nysy a także walki zbrojne żołnierzy polskich w Berlinie.

Walki staczone przez żołnierza polskiego wartościujemy według ich wkładu w skracanie dni niewoli. Tak wartościując, szczególnie miejsce przyznajemy bitwie pod Lenino, stoczonej w dniach 12-13 października 1943 roku. Bitwę tę można bez zastrzeżeń nazwać chrztem bojowym żołnierza polskiego. W dwudniowej bitwie pod Lenino, po raz pierwszy w drugiej wojnie światowej, w regularnym starciu zbrojnym, żołnierz polski nabrał przekonania, że u boku zwycięskiego sojusznika istnieją pełne szanse pobicia wroga i wyzwolenia ojczyzny. Po goryczy przegranych bitew wrzesniowych, po przegranych bojach na ziemi francuskiej w maju i czerwcu 1940 roku — bitwa 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki pod Lenino spowodowała przełom w psychice żołnierza polskiego.

Po tym doniosłym fakcie stało się wiadome, że na wschodzie podjęła działalność państwowotwórczą polonia radziecka i że do Polski, u boku Armii Czerwonej, wkroczy również jej siła zbrojna. A to był fakt wielkiej wagi.

Rozpatrując bitwę pod Lenino w takim kontekście należy podkreślić, iż jej kolejne rocznice nie są uroczystością jedynie określonego kierunku politycznego. Rocznicą ta upowszechnia się, staje się współcześnie świętem całego narodu, bowiem bój pod Lenino przerwał niepokojącą ciszę w sprawie polskiej na froncie wschodnim, spowodowaną wycofaniem wojsk Andersa z ZSRR. Od tej pory sprawa polska upowszechniła się, obejmując niemal wszystkie fronty II wojny światowej. Polacy czynnie wystąpili już na wszystkich frontach: zachodnim, podziemnym oraz wschodnim. Była to realizacja polityki obecności również i na froncie wschodnim. Ten fakt stanowi epokową zasługę polonii radzieckiej i jej politycznego kierownictwa.

Należy pamiętać, że w okupowanej Polsce, już rok wcześniej, rozpoczął działalność kształtujący się front narodowy z Polską Partią Robotniczą na czele. Wskazuje to na potęgowanie się dynamizmu walki polskich sił demokratycznych. Jego wyrazem były bitwy sił podziem-

nych w Polsce i walka zbrojna 1 Dywizji Piechoty w bitwie pod Lenino. Dynamizm ten wynikał z konieczności dziejowej i był wyrazem narastania napięcia woli walki i woli zwycięstwa. Jest to zrozumiałe, ponieważ wojna wchodziła w decydującą fazę i Niemcy hitlerowskie oraz państwa im sojusznice ponosiły klęskę po klęskę. Główne ciosy zadawano im na froncie wschodnim.

Tak rozumując dochodzimy do wniosku, że bitwa pod Lenino stoczona była w decydującym, przełomowym dla Polski momencie. Był to czas, kiedy Armia Radziecka odniosła świetne zwycięstwo pod Kurskiem, co zapoczątkowało ostatnią fazę wyzwolenia państwa radzieckiego. A co miało być potem? Dla każdego mieszkańca Europy Wschodniej i Środkowej stało się jasne, że Armia Radziecka podejmie misję wyzwolenia Europy. Czekano na nią z wielkim napięciem.

Pod Lenino stoczyli walkę z wrogiem Polacy z różnych grup społecznych II Rzeczypospolitej, będącej ukoronowaniem dążeń wolnościowych wielu pokoleń. Niepodległość Polski była dla kościuszkowców głównym motywem działania, w imię tej niepodległości żołnierz kresowiak mężnie walczył obok żołnierza pochodzącego z centralnych dzielnic Polski, stając tym samym na gruncie spójni narodowej, bazującej na najwyższych uczuciach patriotycznych. Znaczenie tego problemu podnosi fakt uczestnictwa w walce synów dawnych powstańców, co jeszcze bardziej wiąże bitwę pod Lenino z dziejami naszego narodu.

Uczestniczący w bitwie nad Mierzeją oficerowie radzieccy stawali się sojusznikami walczącego o wolność narodu polskiego. Ten cementujący się sojusz w bitwie pod Lenino legł u podstaw naszego zwycięskiego doświadczenia gniazda faszyzmu niemieckiego — Berlina, z czego powinni być dumni również i ci Polacy, którzy walczyli na innych frontach II wojny światowej. Wreszcie uczestnictwo żołnierzy radzieckich w naszym chrzcie bojowym było wyświeczeniem do sojuszu polsko-radzieckiego, posiadającego ogromne znaczenie polityczne w okresie wojny i pokoju.

Walkę 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki pod Lenino należy uważać nie tylko jako chrzest bojowy, ale jako symbol ogólnonarodowego aktu patriotycznego. Dlatego też dzień 12 października stał się dniem spotkań społeczeństwa ze swymi obrońcami w mundurach.

## SEZON Z WYOBRAŹNIĄ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

chętnie czytana jest i dyskutowana w niemal każdej polskiej rodzinie?

Myszę, że najpełniejszą odpowiedź na to pytanie mogłaby przynieść analiza przemian związanych z pogruźniową odnową. Nie tylko zresztą tych przemian, które tak wyraźnie rzutują bezpośrednio na poziom życia materialnego i którym na imię: naprawa gospodarki narodowej. Gospodarki, powiedzmy to sobie otwarcie, nadwątlonej w poprzednim okresie niedowładem myślenia, krótkowzrocznością, brakiem właściwej organizacji pracy, a także marnotrawstwem i brakorobstwem, niekiedy zaś nawet pospolitym złodziejstwem. Pierwszy etap odnowy na odcinku gospodarczym został niewątpliwie wygrany, skoro nawet wyjątkowo uporczywe tegoroczne słońce nie rozmorziło cen, a to oznacza przecież osiągnięcie stanu względnej stabilizacji rynkowej. Stało się to możliwe w części dzięki kredytowi, ale kredyt ten, jak wynika z danych statystycznych, spłacany jest coraz wydajniej, choć wciąż jeszcze niedostatecznie doskonałą pracą.

To jest zresztą ten odcinek odnowy, gdzie zmiany są najuchwytniejsze, bo dają się wyrazić w miarach i liczbach, w rubrykach i statystycznych tabelach.

Ale równie ważny wydaje mi się drugi bieg przemian, który już zważywszy zmierzyć się nie da, choć niewątpliwie rzutuje na ten pierwszy, wymierny, gospodarczy. Mam tu na myśli przemianę świadomości, poczucie, już nie tylko werbalnej i zapisanej w konstytucji, współodpowiedzialności za losy kraju co-

raz szerszych rzesz społeczeństwa. Współodpowiedzialności i związanego z nią współzależności, bez którego trudno jest wykrzesać twórczą inicjatywę anonimowych jednostek. Wszyscy, to nie oznacza przecież: każdy, i wemy jak to w niedawnej przeszłości bywało. A przecież bez tej inicjatywy nie można sobie wyobrazić prawdziwego postępu, bo stanowi ona nie mniejszy kapitał społeczny niż bezpośrednio dobra produkcyjne.

Wytyczne na VI Zjazd partii niedwuznacznie zresztą do tego poczucia współodpowiedzialności i współzależności zachęcają. „Partia — stwierdza się tam — dąży do efektywnego postępu w rozwoju wszelkich form demokracji socjalistycznej, w ujawnianiu, pobudzaniu i popieraniu twórczej inicjatywy i aktywności społeczeństwa”. Nie ulega wątpliwości, że nawet na tym neuralgicznym tradycyjnie odcinku wiele rzeczy uległo zmianie na lepsze. Ruchliwość członków kierownictwa partii i rządu, którzy wizytują najodleglejsze rejony kraju i sondują opinie wszystkich grup pracowniczych w Polsce, jest zjawiskiem nie mającym precedensu chyba w całej naszej historii, chyba że uwzględnimy legendy o Królu Chłopów, Kazimierzu Wielkim. Niewątpliwie nowe kierownictwo państwowe przerzuciło między sobą a społeczeństwem trwały pomost zaufania. Ale przykład ten nie wszędzie znajduje naśladowców w niższych ogniwach władzy, które nie śpieszą się z przetruciem kładek. Jaśniepaństwo podparte rutyną daje o sobie jeszcze niekiedy znać z wymalowanych na wysoki połysk biurka. Latwiej zresztą przemalować biurka niż ludzi.

Można by tu przy okazji wspomnieć przysłowiowe kłopoty wynalazców, którzy nie mogą doczekać się realizacji swych pomysłów. Można wspomnieć rolników godzinami czekających na odbiór swoich plodów w punktach skupu. Są to sprawy z pozoru białe, ale gdy się nawarstwiają, stanowią niebezpieczne źródło zatrucia społecznej atmosfery. A przecież przykładów najwykolejszego lekceważenia obywatela nawet przez najniższej kategorii urzędnika nie brak, niestety, w naszym życiu. Przeczytałem na przykład niedawno w „Trybunie Ludu”, że w pewnym zakładzie przemysłowym, gdzie zdjęto ze stanowiska dyrektora za patologiczną nieudolność, blisko trzecią część załogi stanowiła administracja, wśród której znajdował się tylko jeden pracownik z wyższym wykształceniem: radca prawny.

Tęgo rodzaju sygnały muszą nas poważnie zaniepokoić, bo jakże można mówić choćby o wdrażaniu postępu technicznego, gdy pomija się w tym procesie ludzi odpowiedzialnie do tego zadania przygotowanych? Bo nie możemy chyba wymagać od robotnika doskonałości swych kwalifikacji, gdy siedzący za biurkiem urzędnik administracji, nazywany potocznie pracownikiem umysłowym, nie może wylegitymować się świadectwem szkoły średniej, a niekiedy nawet podstawowej. Jest to tym dziwniejsze, że na całym świecie postęp cywilizacyjny zmusza ludzi do najwyższego, intelektualnego wysiłku. Zaciera się różnica między pracą fizyczną i umysłową, zwiększa się zapotrzebowanie na ludzi sprawnie i samodzielnie myślących.

Cóż! Toteż i program partii zawarty w Wytycznych na VI Zjazd jest programem ambitnym, adresowanym, jakby szczególnie do ludzi z wyobraźnią, a takich nam przecież w gruncie rzeczy nie brak wśród robotników, chłopów i inteligencji. Nie zawsze tylko mogli oni ujawnić i pogłębić swe zdolności, bo myślenie nie zawsze jest procedurą dla jed-

nostki korzystnym, a w pewnych, kryzysowych okresach bywa wręcz niebezpieczne. Ale bez myślenia nie można osiągnąć postępu, a i dreptanie w miejscu rzadko się udaje przedłużać bez końca. Wyhodując z tego, czym dysponujemy dziś, wytyczne dają nam pod dyskusję program jutra. Musimy więc tylko dobrze obliczyć zamiary na siły. Ale tkwią w nas tak wielkie rezerwy konceptu, że będzie komu ten program zrealizować. I zostanie on zrealizowany tym szybciej, im prędzej uświadomimy ostatnie przeszkody i nauczymy się rozumować od nowa. Wtedy możemy poważyć się nawet na największe, w czym kryje się zawsze pewne ryzyko niespodzianki. Jest to ryzyko dobrym prawem postępu, a przecież w rutynie i skostnieniu zawiera się jeszcze większe ryzyko niespodzianki, jak tego dowiodły zakręty naszej historii.

Wytyczne więc, sformułowane tak ambitnie, są dowodem wiary partii w zdolności i prężność naszego narodu. A chociaż napisałem: wiary, nie jest to właściwie kwestia wiary. Jest to problem trzeźwej oceny sytuacji, która ten program podkrytowała. Sytuacji u nas i sytuacji na świecie, który nie stoi w miejscu i w którym trzeba nam dopędzić najśmielejszych.

Stawiając wszystkim bardzo surowe wymagania, wynosząc pracę i myślenie na pierwszy plan aktualnych potrzeb, czyli żądając od nas twórczego, agresywnego stosunku do świata, partia nobilituje nas intelektualnie jako społeczeństwo, które myśleć zechce i potrafi. Zapowiada się interesujący sezon dyskusji przedjazdowej, jeszcze ciekawsze będą obrady samego Zjazdu. A więc, rzecz można, sezon z wyobraźnią. I w związku z tym przypomina mi się stare i dumne Kartyżajskie: Cogito, ergo sum — myślę, więc jestem. Czyli parafrazując: jak siebie teraz pomyślimy, tacy będziemy w następnych dziesięcioleciach.

KONRAD FREJDLICH

**Listy DO REDAKCJI**

Szanowny Panie Redaktorze.

Dziwne zjawiska można niekiedy zaobserwować w łódzkiej prasie. Dość długo karmiono nas informacjami o zdecydowanym wzroście porządku i bezpieczeństwa na łódzkich ulicach. A tu p. Tarnowska pisze: „Zastraszone, bezbronne społeczeństwo — masa ludzi ciężko pra-

cujących — przemyka pod ścianami na widok balansujących biodrami rafflarzy cuchnących piwkiem i winiskiem, potrasających grzywami brudnych kładek”.

Nikt chyba nie wąpił w skuteczność ocen postępu w zabezpieczeniu spokoju w naszym mieście i wykrywaniu przestępstw. Na pewno daleko jeszcze do ideału, ale chyba tylko bujny temperament podktykował autorce tak soczyste określenie. Zastraszone, bezbronne... Chyba tak nie jest.

Cały zresztą artykuł jest dość kontrowersyjny... Oto autorka mówiąc o walce z chuligaństwem stwierdza: Pomaga Milicja. Komu mianowicie? Kto jest powołany do czuwania nad spokojem i porządkiem publicznym wydaje się, że w każdym razie nie Liga Kobiet lub członkowie kół PCK. O ile wiem, doład ORMO wspomagało Milicję, ale nie wyobrażam sobie, by

ten porządek został w ostatnich dniach odwrócony, w każdym razie nie podano tego do wiadomości.

Nie jestem także całkiem przekonany, czy milicja jest rzeczywiście tak bezradna wobec tego typu przestępstw, że jedyną sankcją w jej dyspozycji jest absurdalne „pranie po brudnych tyłkach, aż skóra za-trzeszczy”. Społeczeństwo bynajmniej nie przestraszone, czeka właśnie na odpowiednią ustawę, która wyposaży w silniejsze sankcje aparat sprawiedliwości, ale organa ścigania mają w swej dyspozycji środki do walki, i miały zawsze.

Pisze Tarnowska, że ma „ogromny szacunek dla Bułgarów i chyba nie tylko szacunek, na co w pełni zasługują”. Ich metody pedagogiczne musiałby jednak okazać się nie całkiem skuteczne, skoro pod koniec ub. roku wydano tam ustawę niepoźniwie zwiększającą pułap kar (8 lat więzienia) za wykro-

czenia, z którymi i my się bory-

kamy. Myślę, że — jak to napisał Jerzy Sławomir Mac — całe społeczeństwo „zaaprobuję rozszerzenie środków karnych i skalę pozbawienia wolności. Będzie to w Polsce Ludowej trzeci taki akt. Prawnicy, do których kompetencji w ostateczności należy ustalenie zasad wymiaru sprawiedliwości, podjęli i niezłajnie przed zimą rękami. Autorkę niecierpliwi, że ustawa jeszcze nie ukazała się i nie obowiązuje. A jednak mimo wciąż istniejącego zagrożenia spokoju i bezpieczeństwa cierpliwość jest co najmniej wskazana. Jak wiadomo Temida, bogini sprawiedliwości, ma w ręku wagę, ale może sam Zeus zawiązać jej równocześnie oczy. A tu nie można dopuścić do jakiegokolwiek luk lub dowolności w interpretacji postanowień, i by po paru miesiącach nie żądano kolejnej kodyfikacji. Czasy się zmieniają. Jeszcze

15 lat temu klepski dyrektor był „zdejmovany” ze swego fotela, lecz... nie wypadł z tzw. nomenklatury i otrzymywał inny zakład do kierowania. Tak niedawno za jazdy tramwajem bez ważnego biletu płacono się karę wysokości 10 zł. Obecnie kosztuje to zł 50. Dlaczegoż by przestępstw łamiących zasady życia społecznego i porządek publiczny utrzymywać na starej taryfie. Uwierzyłam, że przed wszystkim muszą precyzyjnie zdefiniować co jest w istocie chuligaństwem, a następnie zaproponować odpowiednie „ceny” do wykroczeń. Nade wszystko jednak rozważajmy te zagadnienia w tonie dostosowanym do wagi zagadnienia. Nie dyskutujmy fortissimo. Grozi to chrypką i nie dodaje poważaj argumentom. A lestąmy dopiero na starcie tej dyskusji.

Z wysokim poważaniem  
A. POMORSKI



## Bez komfortu

**K**UPIEM kurtkę z welurowej skóry. Ta, moja absolutnie prywatna, sprawa, w pewnym momencie nabrala znaczenia społecznego. Kurtka, po roku noszenia, zabrudziła się i trzeba było ją dać do czyszczenia. W informacji usługowej powiedziano mi, że mogę dokonać tego w „Adasiu”. Na miejscu okazało się jednak, że owszem, czyszczą, ale tylko... beżowe. Moja kurtka była jednak beżowo-brązowa. Czy tylko moja?

Tak to nasze prywatne sprawy w zetknięciu z niewłaściwie funkcjonującymi działami gospodarki nabierają sensu ogólniejszego. Przekonujemy się o tym najczęściej, kiedy w naszym oknie rozbija się szyba i trzeba z ramą okienną iść do szklarza, kiedy meble z powycieranym obiciem trzeba zanieść do tapicera, albo kiedy zastanawiamy się, gdzie można naostrzyć noże i nożyczki. I wtedy myślimy o przyczynach dziwnego paradoksu gospodarczego. Wszyscy bowiem od dawna staramy się przekonać nawzajem, że rozwijanie usług jest niezbędne zarówno ze względów ekonomicznych, jak i społecznych, że jest to najtańsza forma aktywizacji gospodarczej. A tymczasem w praktyce ta dziedzina życia gospodarczego, w swoim rozwoju stale napotyka na różne przeszkody i hamulce.

Z zazdrością i zdziwieniem przeczytałem niedawno w „Kulturze” Aleksandra Malachowskiego „Pamiętnik współczesny”. „Zbieracz drobniaków gospodarstwa domowego dostaje obłędu w oczach i drzączki w portfelu na widok tego, co może kupić. Przeznaczenia pewnej części przedmiotów nawet nie mogłem się domyślić. Samych przyrządów do mycia okien i podłóg jest kilkanaście, są osobne młotki do wbijania gwoździ w lewą ścianę i osobne do gwoździ na prawej stronie pokoju. (...) Rzemieślnicy wytwarzają to wszystko. Prywatni mali producenci drobniaków ułatwiających życie, podnoszących w konsekwencji stopę życiową. Jak to się dzieje, jak rozwiązywane są kwestie egalitaryzmu, jak znoszą to tamtejsze wydziały finansowe, nie wiem i nie mnie to nawet nie obchodzi”.

I to wszystko nie u żadnych kapitalistów, ale u naszych zachodnich sąsiadów — w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

### „LEPIEJ” NIE ZNACZY „DOBRZE”

W minionym pięcioleciu nastąpił znaczny rozwój usług w Lo-



Fot. W. Kapusto

dzi. Wartość usług radiowych, telewizyjnych i elektrotechnicznych wzrosła np. o 105,2 proc., usług stolarskich — o 174 proc., malarskich — o 52 proc., ślusarskich, hydraulicznych itp. — o 82,8 proc. i lekarskich — o 83,5 proc. Zaczęliśmy się jednak na stałe ubierać u „przemysłowego krawca”, gdyż w tej dziedzinie usług nastąpił nieznaczny wzrost wartości, bo tylko o 28,2 proc. Również rozwój przemysłu kosmetyków nie przyniósł nadmiaru pracy zakładom fryzjerskim. W sumie jednak w każdej niemal dziedzinie statystycy zanotowali pewien wzrost. Ale czy to może nas zadowalać?

Odpowiedź na to pytanie dają porównania stanu usług w Łodzi z ich poziomem w innych ośrodkach kraju. W ubiegłym roku statystyczny mieszkaniec Warszawy wydał np. na usługi 1.757 zł, Krakowa — 1.341 zł, Poznania — 1.686 zł i Łodzi — 1.184 zł. Wprawdzie statystycy śpieszą zaraz z danymi uzupełniającymi i usprawiedliwiającyymi. — Bo w Łodzi — mówią — i średnia miesięczna płaca jest o 44 zł niższa od średniej krajowej i ceny usług są najniższe w kraju. Ale przecież to niewiele wyjaśnia. Przeciwnie, powinno raczej zobowiązywać do intensywniejszego rozwoju usług w mieście.

Patrzymy dalej na porównania. W pięcioleciu wzrosły w Łodzi usługi radiowe, telewizyjne i elektrotechniczne. To prawda, ale jeśli statystyczny warszawiak w 1970 roku wydał na te cele 36 zł, poznaniak — 31 zł, wrocławianin — 32 zł, to łodzianin tylko 29 zł. Nie lepiej też było z wydatkami na usługi motoryzacyjne. W War-

szawie na ten cel statystyczny mieszkaniec wydał w ub. roku 99 zł, w Poznaniu — 90 zł, we Wrocławiu — 69 zł, a w Łodzi — 56 zł. Natomiast każdy z nas wydał w ubiegłym roku rekordową w kraju sumę na reperaturę obuwia — 95 zł. Ale to właśnie najgorzej świadczy o poziomie życia w Łodzi.

W ubiegłym pięcioleciu wartość usług w łódzkich pralniach wzrosła tylko o 16,9 proc. Stało się tak jednak nie dlatego, że łódzianki — w większości przecież kobiety pracujące — stronią od zastępowania ich w tej niewdzięcznej pracy przez zakłady pralnicze, ale przeciwnie — dlatego, że zakładów tych w Łodzi jest mało. W ostatnich kilku latach wybudowano w mieście zaledwie jedną pralnię. Buduje się następną i planuje się budowę jeszcze jednej. Ale większość łódzkich pralni mieści się w przestarzałych i nieodpowiednich budynkach. Nie wszystkie dysponują też nowoczesnym wyposażeniem.

### CZY NAPRAWDĘ BĘDZIE LEPIEJ?

Przydług RN m. Łodzi opracowało program rozwoju drobnej wytwórczości w Łodzi. Program ten przewiduje również rozwój usług, które są integralną częścią tej dziedziny gospodarki. Przedsiębiorstwa drobnej wytwórczości: przemysłu terenowego, spółdzielczości inwalidzkiej i pracy, otrzymały na inwestycje i modernizację pół miliarda zł, z tego 95,6 miliona zł przeznaczony jest na

rozwój działalności usługowej. Przyjęto zasadę, że najintensywniej będzie się w bieżącym pięcioleciu rozwijać usługi motoryzacyjne, rozbuduje się pralnie oraz warsztaty stolarskie i tapicerskie. Może więc już niedługo nie trzeba będzie iść z fotelami do tapicera, a... tapicer sam przyjdzie do nas i naprawi fotele na miejscu. Więc już niedługo będą mogli bez żadnych przeszkód i warunków oddać do czyszczenia kurtkę z welurowej skóry. Poczekam cierpliwie na tę chwilę. Nim jednak nadejdzie, chciałbym zastanowić się nad programem, którego realizacja ma mnie i innym zagwarantować takie komfortowe życie.

Program rozwoju usług w Łodzi zakłada przede wszystkim rozbudowę ich bazy przemysłowej. Budować się będzie wielkie wytwórnie i warsztaty remontowe, w których można będzie przygotowywać elementy i prefabrykaty, a także zgromadzić niezbędne zapasy wszelkich części zamiennych. W poszczególnych rejonach miasta powstanie gęsta sieć punktów przyjęć. Dzięki takiej zasadzie można będzie poprawić niedoskonałą obecnie sieć placówek usługowych. Większość tego typu zakładów mieści się w śródmieściu Łodzi. Nie ma ich pod dostatkiem w nowych osiedlach, a szczególnie na Teofilowie i Dąbrowie.

Zeby jednak tak było, muszą być spełnione określone warunki. Pierwszy — planowany rozwój bazy technicznej drobnej wytwórczości wymaga sprawadzenia odpowiedniego parku maszynowego i kadry. Jeśli chodzi o park maszynowy, to wszystko wskazuje na to, iż będzie ona otrzymywała niezbędne jej maszyny. W tym roku drobna wytwórczość w Polsce otrzymała blisko 2 miliony zł dewizowych na zakup maszyn ze strefy wolnodewizowej. W większości są to jednak pieniądze odstąpione przez wielki przemysł, który finansuje przedsiębiorstwa drobnej wytwórczości z myślą o rozwoju niezbędnej mu kooperacji. Jednakże wzrost poziomu technicznego zakładów przemysłu terenowego i spółdzielczości nie będzie bez wpływu i na poziom usług. Ważny jest przede wszystkim fakt, że zmienia się klimat wokół tej dziedziny gospodarki.

Warunek drugi — transport. Jeśli punkty przyjęć mają funkcjonować sprawnie i szybko spełniać wszelkie zlecenia klientów, jeśli specjaliści różnych dziedzin mają docierać również do klienta, to muszą dysponować odpowiednio przygotowanymi do tego samochodami. A takich samochodów jak na razie, nie ma. Zakłady drobnej wytwórczości cierpią przede wszystkim na niedostatek samochodów przystosowanych do przewożenia sprzętu, bielizny i mebli z punktów odbioru do baz remontowych czy pralni. Bez takich samochodów racjonalnie opracowany program pozostanie jednak w sferze poboznych życzeń.

Warunek trzeci — ludzie. Drobna wytwórczość cierpi na brak dobrze przygotowanej kadry. Wyposażenie nowego stanowiska pra-

cy w usługach i zakładach drobnej wytwórczości jest tanie, np. w spółdzielczości inwalidzkiej koszt stanowiska pracy oblicza się na około 20 tys. zł. Będzie z tego jednak pożytek dopiero wtedy, jeśli zajmie je odpowiednio przygotowany pracownik. Trzeba zatem przygotować ludzi zarówno w szkołach, zakładach doskonalenia zawodowego, jak i w trakcie działalności produkcyjnej i usługowej. Jednakże konkurencja wielkiego przemysłu, który stale potrzebuje ludzi, jest tak silna, że dla wielu praktyka w zakładach drobnej wytwórczości jest wstępem do pracy w wielkim przemyśle.

Warunek czwarty — zaopatrzenie. Do tej pory ten dział gospodarki narodowej traktowany był po macoszemu. Obecnie zarysowują się oznaki zmiany. Jak będą głębokie i długotrwałe — pokáže praktyka. Wszyscy są wprawdzie zgodni, że bez należytego zaopatrzenia w surowce i środki, postępu w drobnej wytwórczości nie będzie można dokonać.

### NIE SAMYM PROGRAMEM

Program rozwoju drobnej wytwórczości w Łodzi budzi optymizm i nadzieje. Budzi też wątpliwości. Przede wszystkim zastanawia brak koordynacji programu Łodzi z programem województwa. Oczywiście jest, że poziom usług będzie zależał od poziomu całej drobnej wytwórczości. Czy jednak nie należałoby rozwoju tej dziedziny gospodarki miasta planować w powiązaniu z rozwojem drobnej wytwórczości w województwie? Czy w ramach łódzkiego regionu przemysłowego nie należałoby tworzyć nowoczesnych zakładów drobnej wytwórczości, które mogłyby należycie spełniać swoje zadanie: produkować poszukiwane na rynku towary oraz kooperować z wielkim przemysłem? Przecież w ten sposób można byłoby część potencjału produkcyjnego przekazać na potrzeby usługowe Łodzi. Pozwoliłoby to również racjonalniej gospodarować kadrami w samym mieście. Wiadomo przecież, że w Łodzi nie ma nadmiaru ludzi poszukujących pracy, a są tacy w niektórych okręgach województwa łódzkiego. Po drugie — wiadomo, że część zakładów drobnej wytwórczości ze śródmieścia trzeba będzie rozbrać i przenieść do innych dzielnic Łodzi. Czy nie byłoby celowe przeniesienie je w ramach deglomracji poza obręb miasta?

Takich pytań, wątpliwości i problemów jest znacznie więcej. I właśnie teraz, kiedy dyskutujemy o modernizacji jej gospodarki, na pytania te trzeba wspólnie znaleźć odpowiedź. Wspólnie — tzn. w kręgu ludzi zajmujących się problemami w mieście i w otaczającym go województwie. Wydaje się jednak, że mimo zapoczątkowanych ostatnio wielu początków integracyjnych, nadal silne są jeszcze skłonności, które każą odrębnie traktować problemy gospodarce Łodzi i województwa łódzkiego. Przy programowaniu przyszłości przemysłu terenowego i spółdzielczości takie postępowanie może okazać się nader szkodliwe.

## Twórczość Cypriana Norwida w Czechach

(Dalszy ciąg ze str. 1)

nich utworów literatury światowej, co było wielkim dokonaniem i jego bezsprzeczną zasługą. Przekłady te jednakże mają i swoją ciemniejszą stronę: zachowując uparcie metrum oryginału często naruszały indywidualny styl autora utworu, były bardziej odbiciem poetyki tłumacza, a w przypadku jego epigonów — poetyki swej doby, niż poetyki oryginału. Często też popadały w sprzeczność z wiernością wewnętrzną między oryginałem a tym, co wychodziło spod pióra tłumacza.

„Grzechy” metody translatorskiej Vrchlickiego odnalazł może- my w tłumaczeniach Kvapila. Są

nimi: zbyteczne dynamizowanie opisów, nadmierna ekspresywność przechodząca czasem niemal w afekcję, piętrzenie obrazów, by nie wspominać już o kontynuowanej za wzorem Vrchlickiego manierze zbytecznych inwersji, wokalizacji przyimków, pozabawiania słów końcówek itp.

W przekładach utworów Norwida jest to dosyć przykre: Norwid przecież wielokrotnie opierał efekt artystyczny na niedomówieniu, przemilczeniu, które zakładało aktywny stosunek czytelnika przy odbiorze tej poezji, Kvapil natomiast jakby starał się wychodzić czytelnikowi naprzeciw, mówi więcej niż wszystko; Norwid dobierał słowa pracowicie i oszczędnie — Kvapil wniósł do swych przekła-

dów niejednokrotnie zbyteczne wzbogacenie wzoru, gubiąc surowe piękno oryginału i myląc czytelnika.

W trzy lata po przekładach Kvapila, w r. 1911 Slovansky prehled zamieścił dłuższą informację o twórczości Norwida, bogato inkrustowaną tłumaczeniami fragmentów jego utworów. Autorką szkicu była entuzjastyczna wielbicielka i tłumaczka Marii Konopnickiej — Pavla Maternova. W szkicu swym autorka starała się ukazać różne aspekty twórczości poety, prezentując go jako myśliciela, patriotę i profesora, wieszającego swe przyszłe zwycięstwo. Tłumaczenia powstały widać w pośpiechu, utrzymują wprawdzie rytm oryginałów, ale odbiegają często od nich treścią, Maternova bowiem tłumaczyła słowa, nie zawsze jednak radziła sobie z Norwidowskimi obrazami.

Trzecim poza Przeglądem Slovanskim i modernistach praktycznym kręgiem literackim, który pilnie śledził rewelacje Miriama i z żywym zainteresowaniem zwrócił się ku twórczości Norwida, była tzw. moderna katolicka. Zgrupowanie owo ukonstytuowało się na Morawach u schyłku XIX wieku. Literaci tego kręgu nawiązywali formalnie do twórczości J. Vrchlickiego, tematycznie zaś uwagę swą kierowali ku problematyce

filozoficznej i moralnej, usiłując poprzez twórczość własną oraz bogatą działalność przekładową i wydawniczą wpłynąć już nie tylko na odnowę sztuki katolickiej, ale moralności w ogóle. Nie obce im również były problemy reform społecznych, a także reformy Kościoła. Tendencje te zresztą przeraziły hierarchię kościelną, która przyczyniła się do rozpadu owego zgrupowania.

Pierwszym, który spośród tego grona zwrócił uwagę na Norwida był Emanuel Masak, ksiądz berneński, zasłużony organizator moralnych pisarzy katolickich. W literaturze polskiej, którą znał dobrze, doszukiwał się przede wszystkim tendencji katolickich, usiłując przenieść je — jako godny naśladowania model — na grunt czeski. I on, podobnie jak inni czescy propagatorzy Norwida, trafił do polskiego poety poprzez rocznik *Chimery*. W oparciu o publikacje w niej zawarte napisał studium o autorze „Vade mecum”, zamieszczając je w piśmie *Meditace*. W dokonaniach artystycznych Norwida widział berneński kapłan kontynuację romantyzmu, realizującą się poprzez wzbogacenie wielu cech tego prądu pierwiastkami kultury zachodniej.

Artykuł Masaka informował również o poglądach Norwida na sztukę. Zwłaszcza cenne wydały

się krytykowi takie występujące w nich pojęcia jak Prawda, Słowo, Czyn, Miłość, które uznał za pojęcia wiodące, słowa-klucze w systemie estetycznym i etycznym polskiego twórcy. Szczególnie bliskie było mu — co zrozumiałe — pojęcie wszechogarniającej miłości chrześcijańskiej. Miało ono świadczyć o decydującym wpływie religii na twórczość i koncepcje filozoficzne poety. Emanuel Masak, który żywo zajmował się polskim mesjanizmem, a w utworach poetów romantycznych śledził przede wszystkim ich (w znacznej mierze przez niego wykonaną) drogę „Ku bramom wieczności” (jest to tytuł książki poświęconej Słowackiemu i Kraśnickiemu), poezję Norwida czytał również pod tym kątem, ze szczególnym naciskiem podkreślając odkrytą w dziełach poety koncepcję „zbawicielskiej i odkupicielskiej misji sztuki”.

Oprócz omówionego studium Masak opublikował w tymże samym piśmie przekład kilku wierszy Norwida, wychodząc przy tym z doświadczeń translatorskich szkoły Vrchlickiego. Posiadający sporą kulturę słowa tłumacz z formą wierszy poradził sobie nieźle, nie zawsze natomiast udało mu się dochować wierności zawartym w nich treściom. Czasem rozbieżność wpływała z niezrozumienia tekstu, czasem — chy-



RZECZ jest znamieną. W listach do redakcji przychodzących po każdej naszej publikacji dotyczącej budownictwa w Łodzi, traktowanej nie od strony wskaźnikowo-izbowo-planowej, ale w aspekcie wartości estetycznej tego co budujemy, powtarza się jedna rzecz: nasi Czytelnicy nie mają pretensji do „Magdy” za to, że jest brzydka, do „Balatonu” za to, że powiedzmy nie jest piękny, do „Kęsa” że jest taki jaki jest — ale do tych wszystkich obiektów wyłącznie za to, że nie są wieżowcami. Przy wyliczaniu tych budynków, wymienia się jednym tchem także i jeden z niewielu udanych obiektów handlowych w Łodzi, mianowicie „Domus”. Jest to lokal o bardzo ładnych proporcjach, którego elewacji nie potrafiły nawet oszpecić chronicznie występujące tam zacieki. Wymienianie „Domusa” w tym towarzystwie to dowód na to, że statystycznemu łodzianinowi nie chodzi o rzecz piękną bez względu na jej wysokość, ale o to, by to było coś olbrzymiego.

Obiekt tak udany jak „Domus” porównywany jest do „Magdy”, która architekturą nazywają substandardowym tworem, dostosowanym do brzydkiego otoczenia, nie wzbogacającym estetycznie Piotrkowskiej, ale zatykającym po prostu dziurę. „Magda” równa do najgorszych fragmentów Piotrkowskiej. „Domus” — do najlepszych. Ale to nieważne. Oba obiekty mają w oczach części naszych Czytelników jedną wadę — są za niskie...

— Bo Łódź — tłumaczy tę postawę architekt Jerzy Sadowski — ma uzasadnione historycznie kompleksy. Trudno od ludzi patrzących całe dziesięciolecia na parterowe drewniak, czy murywane niewysokie rudery, wychowanych w tychże drewniakach, pracujących w zakładach przemysłowych, których mury (a czasem i maszyny) liczą po sto lat, wymagać tradycji architektonicznej? Tej tradycji, której nabywa mieszkaniak Krakowa zupełnie podświadomie, przez sam fakt codziennego przechodzenia obok zabytków najwyższej klasy. Mamy więc świadomość własnego zacofania, odczuwaną najdotkliwiej w czasie urlopowych wędrówek, kiedy, chcąc nie chcąc, przyrównujemy się do innych. W efekcie odczuwamy instynktowny pęd do zmiany warunków za wszelką cenę. Mielśmy drewniane partery — więc teraz żądamy wieżowców 30-piętrowych. Mielśmy w tych drewniakach ciasne, małe okna — więc teraz chcemy wyłącznie elewacji szklano-aluminiowej. Bez względu na to, czy jest potrzebna, czy nie... czy mamy klimatyzację czy nie. A przeważnie jej nie mamy. Zapytajcie pracowników „Unibudu” jak im się pracuje do godz. 16 w tych szklanych klatkach, wystawionych na działanie słońca...

Taka postawa jest w pewnym sensie przejawem chęci wzbogacenia się. Podobnie się więc niekoniecznie to co ładne, ale to co imponuje swoim ogromem. Przeżywamy etap miast amerykańskich z początku XX wieku: sąsiad wybudował 30 pięter, to ja mu pokażę — 60!... Etap chyba nie do przeskoczenia. I w Łodzi tym groźniejszy, że wszystkie wieżowce wznoszone są na identycznej konstrukcji, ograniczającej bardzo ich kształt i proporcje. Ładniejszy od „Unibudu” jest gmach „Cetebe” (ta sama konstrukcja). „Cetebe” ma dobry makijaż...

Mamy na szczęście wyjątki. Takiego makijażu nie będzie potrzebował Szpital Miejski przy Pabianickiej. Jest po prostu ładny. Widać to już teraz, w nieuporządkowanym jeszcze otoczeniu. Już teraz także widać, że smukły wieżowiec „Spółem” (róg Piotrkowskiej i Mickiewicza) — to jeden z bardziej udanych budynków

w Łodzi. Skoro jednak zahaczyliśmy o „Spółem” nadmienimy, że sporo kontrowersji wzbudza budowany tu obok dom towarowy zwany już ogólnie „bunkrem”. Bunkier podoba się plastynom, architektom. Notabene projektował go inż. Gin-

dygnacyjną czy więcej podbudowę dużego wieżowca. Ale musiałby być bardziej cofnięty w głąb. A na cofanie w głąb „Balatonu” nie zgodziłby się „łodzianin u władzy”, liczący, jak wiadomo, kilka razy każdą izbę do wyburzenia. A wte-

przesadzajmy. Każdy budynek musi „się dzieć” w otoczeniu, nie szpecąc go.

I tak kółeczko się zamyka. Kto ten zakłętą krąg oduroczy? Kto z naszej przyszłościowej wizji Łodzi odrzuci plewy — wynik naszych kompleksów, przejawiających się w tym przypadku w dążeniu do wznoszenia wszędzie gigantów? Nasz rozmówca — inż. Sadowski, sam z pokolenia tzw. trzydziestolatków, widzi szansę wyłącznie wśród młodzieży tak łatwo chłonącej nowe wzory i zrywającej z przeszłością. Z przeszłością, która nas wiele nauczyła, ale w przypadku zabudowy przestrzennej bardzo „niedouczyła”. Ta przeszłość ciągnie się za nami. W rezultacie różnica pomiędzy nową Łodzią, a Łodzią zastaną, leży tylko w skali jej wysokości, a nie w wartościach kulturowych. Owszem, możemy liczyć na młodzież, nie tylko z kręgów twórczych, ale także z kręgów, dla których się te wartości wznosi. Bo twórcy nie mogą pracować wiedząc, że ich praca nie jest naprawdę akceptowana.

Ale dopóki ta młodzież nie zacznie działać możemy i musimy liczyć tylko na siebie. Tymczasem jednak wielkie nadzieje w dziedzinie zmiany w polityce przestrzennej, łączymy ze sprawą tak delikatną i tak trudną jak właściwa polityka kadrowa. Polityka, która wyeliminuje przypadkowość w działaniu w zakresie przebudowy miasta.

ALINA PONIATOWSKA

## Wieżowce i moda

(Artykuł dyskusyjny)

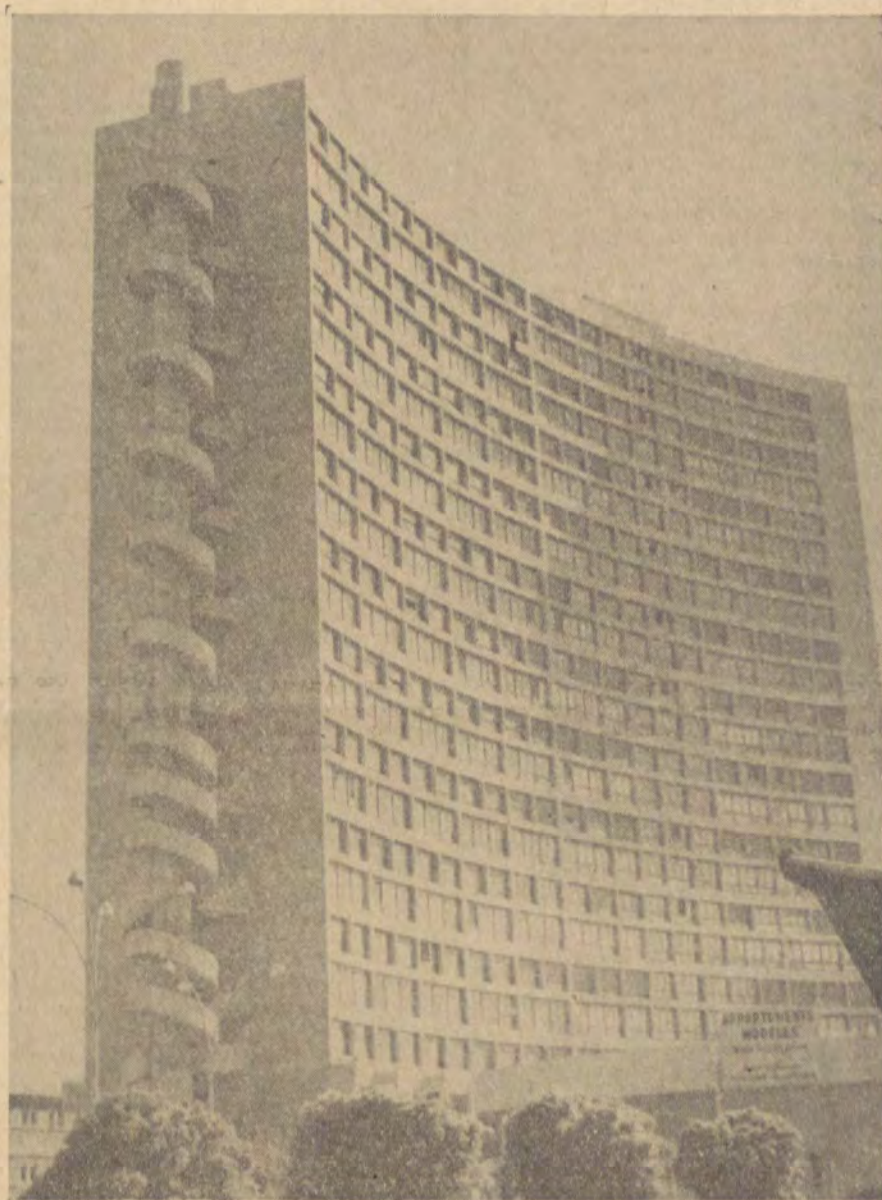
łową, autor katowickiej Hali Sportowej, stanowiącej ozdobę centrum tego miasta. Podoba się także kilkudziesięciu, a może więcej osobom, oblatanym w świecie i modzie architektonicznej, wiedzącym, że właśnie tak a nie inaczej ostatnio buduje się obiekty handlowe na Zachodzie. Łodzianin żąda dużych płaszczyn szklanych bez względu na to, czy będą one czyste, czy brudne, potrzebne czy nie. Czy szklany „Uniwersał” ozdabiają widoczne z ulicy, stojące za oknami stopy durszlaków bądź wiszące rzędy garniturów? Czy fakt „przeszklenia” „Uniwersału” wpłynął na to, że nie jest w nim duszno? Bunkier — jak twierdzą fachowcy — to jeden z niewielu obiektów, który możemy pokazać architektom zagranicznym. Bunkier jest awangardowy w ogóle, a szczególnie na tle Łodzi awangardowej. Dlatego do Eunkra musimy się dopiero przyzwyczaić.

Ale tak „Bunkier”, jak i „Magda” stały w Łodzi zupełnie przypadkowo. Na żadnej z porad zatwierdzających budowę tego, czy innego obiektu w Łodzi nie traktuje się poważnie sprawy architektury danego obiektu. „Bunkier” — to efekt konkursu ogólnopolskiego. „Magda” — niewłaściwego ułożenia zlecenia na projekt, szpital przy Pabianickiej — to przykład na przypadkowe powierzenie projektu właściwemu zespołowi autorstwu. Jaka będzie Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa? Spełni na pewno zapotrzebowanie łodzian na gmachy ogromne i imponujące. Realizowana będzie na podstawie nagrodzonej pierwszą nagrodą pracy konkursowej. Ale czy będzie piękna? Pytanie pozostawmy otwarte... W innym mieście byłyby namętne pokonkursowe dyskusje, czy budować akurat na podstawie pierwszej nagrody, czy może lepiej na podstawie drugiej. U nas było grzeczne potakiwanie.

Zaden z wymienionych obiektów, czy zespołów nie jest wynikiem świadomej realizacji z góry założonego programu, jako, że takiego programu w Łodzi nie ma.

Preferujący podświadomie budownictwo ogromne łodzianin tłumaczy, że szkoda terenu na budowle niskie. Za przykład służy tu wszystkim „Balaton”. „Balaton” — wysokościowiec, wyrastający z ziemi, bez żadnej podbudowy jak „Unibud”, zaskomicie zatkałby komunikacyjnie i tak zatoczoną al. Kościuszki. Duży gmach wymagałby bowiem szerokiego parkingu. „Szary łodzianin” ma rację. „Balaton” mógłby stanowić dwukon-

dy wyburzenia, i to nie małe, byłyby konieczne. „Balaton” budowano w okresie, kiedy myśl o wyburzeniu czegokolwiek była traktowana nieomal jako przejaw antyspołecznej postawy. Ale czy „Domus” musi mieć 20 pięter, czy „Kęsa” 30? Nie



Fot. Janusz Czeż

ba — z tendencyjnego odczytania utworu.

Masak otwiera ciąg czeskich, a ściślej — morawskich, poetów katolickich, w twórczości przekiadawej których od czasu do czasu pojawiają się Norwidiana (należą do nich: Janouch, Babler, Zahradniczek).

Sporo miejsca utworom Norwida poświęcono w tomikach wychodzących pod nazwą „Nova et Vetera”. Była to katolicka biblioteczka, jedna z wielu tego typu specjalizowanych biblioteczek, ukazujących się od końca XIX w. w Czechach i na Morawach. W serii tej publikowano utwory, które miały zapewnić czytelnikowi godziwą lekturę na odpowiednim poziomie moralnym a nie bez pewnych ambicji artystycznych.

W tej właśnie bibliotece wydał w r. 1916 swój przekład studium Norwida o Boga-Rodzicy ks. K. M. Szebesta, w następnym zaś roku tłumaczenie legendy „Garstka piasku”. W dalszych tomach wydawnictwa ukazał się wspomniany już artykuł Karaska, przedrukowany z „Modernj revue”. Wreszcie w r. 1921 jako samodzielny książeczkę wydano „Legendy i nowele”.

Tłumaczem tej ostatniej pozycji był literat związany z „Modernj revue”, który w dalszej drodze twórczej zbliżył się do czeskiej lewicy — Józef Matousz. Litera-

ture polską znał świetnie, reprezentował entuzjastyczne polonofilstwo, dużo z polskiego tłumaczył. Norwidem zainteresował się wcześniej za pośrednictwem Chimery. Prozę autora „Ad leones” zaczął przekładać już w roku 1913. Wówczas właśnie w „Modernj revue” zamieścił tłumaczenie „Tajemnicy lorda Singelworth”. W wydawnictwie „Nova et Vetera” w roku 1920 próbował swych sił na „Częstochochowskich wierszach”, tamże opublikował fragmenty „Czarnych kwiatów”, drukując jednocześnie w piśmie Cesta przekład „Ad leones”. O obecności Norwida w artystycznej świadomości Czechów dopominał się wielokrotnie, by wreszcie w r. 1923 w wspomnianym piśmie Cesta napisać o nim dłuższy artykuł pt. „Zapomniany poeta”. Artykuł ten był wypadkową bogatej wiedzy o życiu poety i bezpośredniego obcowania z jego dziełem.

Matousz, podobnie jak jego poprzednicy, dostrzegł szeroki kontekst europejski w dziełach poety, co nie było dla niego zaprzeczeniem polskości Norwida, a jedynie podkreśleniem zawartych w jego dziele prawd natury ogólnoludzkiej.

Matousz ocenił wysoko całą spuściznę literacką Norwida, najbardziej jednak upodobał sobie jego prozę poetycką. Traktował ją jako swoisty monolog wewnę-

trzny (określił ją jako „rozmowy samego z sobą”), podziwiał specyficzny spłot realizmu i symbolizmu, jaki reprezentowała. Ten gatunek literacki musiał być Matouszowi szczególnie bliski, skoro z dużym powodzeniem przyswajał językowi czeskiemu takie utwory jak „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego” Mickiewicza, „Anelli” Słowackiego, „Modlitwy” Krasińskiego, „O bohaterkim koniu i walącym się domu” Kasprowicza.

Nieco wcześniej niż rozprawka Matousza wyszły z druku „Słowanské literatury” J. Machala, w których literatura polska doczekała się szerokiego omówienia. Norwidowi poświęcono w publikacji tej sporo miejsca. Poza dość szczegółowym życiorysem poety Machal zamieszcza informacje o poglądach poety na sztukę ze specjalnym podkreśleniem koncepcji ludowości u Norwida, charakteryzuje także jego poglądy filozoficzne w kontekście filozofii platońskiej, chrześcijańskiej, polskiej i niemieckiej. Machal, widząc pewne powinowactwa Norwida z romantyzmem (dążenie do oryginalności, ludowość), starał się wykazać jednocześnie różnice zachodzące między Norwidem i romantykami. Manifestować się miały one w przekreśleniu przez poetę postaw skrajnego indywidualizmu, egotyzmu, w odrzuceniu prze-

zeń jednostronnego kultu uczucia. Zarówno Machal jak i Matousz w swych charakterystykach Norwida dochodzą do koncepcji poety-mysliciela, którego oryginalność przejawiała się nie tylko w poglądach na sztukę, ale i w Norwidowskim ujęciu zagadnienia narodu, patriotyzmu, problemu pracy.

Po pracy Machala, wyznaczającego Norwidowi odpowiednie jego wielkości miejsce wśród twórców polskich, nikt w Czechach nie mógł mieć wątpliwości co do znaczenia tego poety. Tę pozycję Norwida utrwalala powojenna już „Historia literatury polskiej” pióra prof. K. Krejčígo, w której o autorze „Assuntj” mówi się jako o „najwybitniejszym poecie emigracji, kontynuatorze tradycji wzbogaconej o nowe pierwiastki, łączniku między romantyzmem a Młodą Polską”.

Nie znaczy to jednakże, by fakt ustalenia miejsca poety w literaturze polskiej był jednoznaczny ze znajomością jego utworów, fragmentarycznie tylko, jak wynikało z powyższego przeglądu, przyswajanych literaturze czeskiej. Konieczność dokonania nowych tłumaczeń zaowocowała w ostatnich latach dwoma tomikami poezji Norwidowskiej.

W roku 1968 Vaclav Rencz wydał wybór wierszy Norwida (zopatrzonej w krótkie postowie i

objaśnienia), pt. „Mramory a blesky”. Rencz, pisarz orientacji katolickiej, piszący sam refleksyjne utwory liryczne, dobrze sobie poradził z trudną twórczością polskiego poety, dając przekłady płynne, na ogół wierne, o dużych walorach poetyckich.

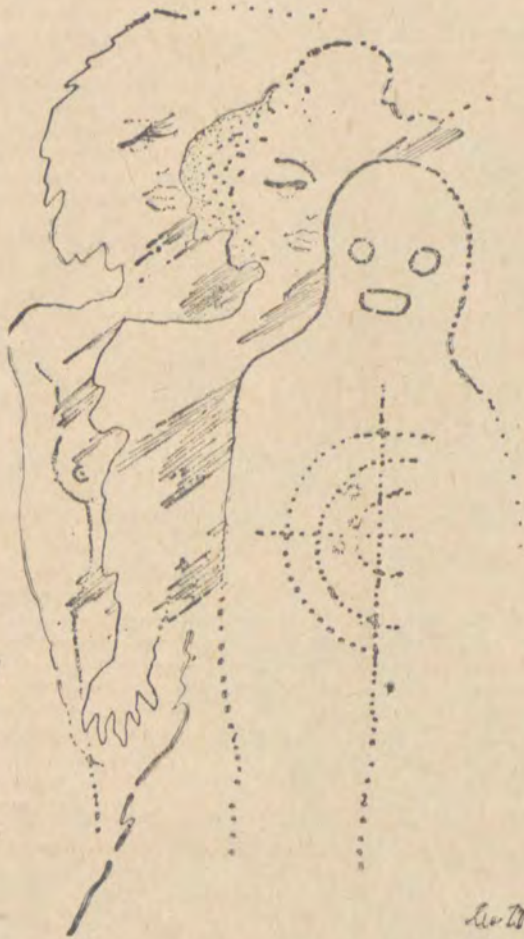
W tym samym niemal czasie nad przekładami utworów Norwida pracował inny poeta, bliiski nam jako tłumacz Tuwima, Broniewskiego, Gałczyńskiego, Staffa — Jan Pilarz. Pióro tak wprawne w tłumaczeniu z polskiego dało czytelnikowi czeskiemu pięknie opracowany tom „Cerné květy”. Zebfane w nim wiersze Norwida poprzedzone zostały ślicznym esejem tłumacza. Tom oprócz wierszy i rysunków Norwida zawiera kalendarium życia poety, wybór z jego korespondencji i myśli. Zamykają go zaś głosy o Norwidzie, od współczesnych poeci, aż po krytyków dzisiejszych. W ten sposób już samą kompozycją tomu udało się Pilarzowi ukazać czytelnikowi czeskiemu sylwetkę pisarza w sposób możliwie pełny.

Oba wspomniane tomiki, będąc już nie tylko sądami o poecie, ale przemawiając jego własnym głosem, mogą otworzyć nową kartę w dziełach recepcji Norwida w Czechach.

KRISTYNA KARDYNI-  
PELIKANOVA



# ĆMY



Jest noc, kiedy piszę te słowa, a minuty okrążają mnie niby ćmy pływające w rzadkim powietrzu wokół mojej świecy — spalone, zostawiające tłusty ślad na policzkach, zadowolone po ostatnim spotkaniu z nieboszczykiem. Rade, bo znalazły bezludną wyspę człowieka, który nie machał nieporadnymi gałęziami rąk, który się nie unosił lekko w nieswieżym oddechu.

Piszę słowa i myślę skąd się one biorą. Pewnie do mnie — jak ćmy do światła nadlatujące — ściągają i śmierzdząc spalają się w wąłym płomieniu, bo nie umiem powiedzieć nic innego ponad to, co mnie boli, a bólu mojego nie utulę w koldrę najcierpliwszą, ani go niczym nie zagłuszę — choć próbowałem, Bóg mi świadkiem. Dlatego teraz, po wypiciu i wina i gorzałki siedzę pusty i samotny, włosy mi rosną, paznokcie, tramwaje za oknami jak świerszcze śpiewają, a ja zapisuję kartki papieru, choć jest to dla mnie zgrzyota i mordęga szczerca. I już bym napisał o tym, co się najbliższej tematu dotyka, ale przypomniałem sobie lipę, którą jako przeszkodę dla ruchu kołowego wczoraj koło mojego domu ścięto. Prawda, była już bardzo stara, spróchniała, wielkie, gnijące dziuple czyszczone z rozkładającej się drewniny i zalepiono cementem, a zbyt rozległe nad ulicą rozkładające się konary wiązano stalowymi kłami. Więc pewnie słusznie zrobiono, że ją ścięto, cała korzyść z niej to ten zapach, raz do roku, którym odychałem ja i jeszcze paru sasiadów. Ale żal jednak, tak się czułem, jak bym już nigdy w życiu miał nie poczuć woni lip i usłyszeć brzęczenia pszczoł w ich kwiatkach i liściach. Znowu nie wiem, po co o tej lipie piszę, przecież nie dlatego, bym się czuł jak drzewo rozpaczające. A może dlatego, że strach powiedzieć dokładnie i od razu to, co powiedzieć trzeba, aby można było dalej żyć? Tak, stąd pewnie to ubieranie fabuły w liściaste dygresje, chociaż to głupie i banalne. Ale czy jest coś głupszego niż rozpaczający nocą w samotności człowiek? Nocą człowiek powinien pić wódkę jeśli nie idzie nazajutrz do pracy, albo pić wódkę jeśli jutro do pracy pójść musi, albo spać twardo, albo spać z dziewczyną, ale nie powinien rozpaczować w samotności. Jeśli już ma rozpaczować w samotności — niech się raczej rzuci przez okno z wysokiego piętra, bo wtedy i rozpacz będzie szczerca i koniec męki i nudy. Więc nie jest wykluczone, że zrobię to zanim skończę pisać słowa. Ale nie jestem pewien czy to nastąpi i kiedy nastąpi. Noc jest długa, wczesno-jesienna, z każdego kąta ćmy pełzną i lecą, a zanim mi się owina koło szyi, tak, że już nie będzie można zaczerpnąć głębiej powietrza, napiszę jeszcze słowa o tym, co mi nie pozwala ani nocnego robactwa z pokoju wygonić, ani swobodniej odetchnąć. Ale jeszcze nim to nastąpi muszę powiedzieć, że nie

trzeba się w słowach dopatrywać ani ścisłych faktów, ani odnosić ich do osób, które można by było dokładnie określić. To, co napiszę, jest po prostu drzewem, które rosło we mnie właśnie jak drzewo, albo jak skleroza, albo jak ta noc, której przecież można się było domyśleć. Nie można jednak domyślać się niczego więcej ponad to, co napiszę, a i tego też nie trzeba rozwiązywać, bo jest ta fabuła złożona z wymyśleń, faktów i rozpacz i z tej ćmy, która skwierczać dopala się w drobnym świetle świecy.

Kiedyś się z nią rozstawali morze dawno było sine, a w krzyku mew zamilkł już ten histeryczny, kokieteryjny ton, który tak dobrze, choć nieświadomie, znają lipcowi i sierpniowi letnicy. Jeszcze się nie zapaliły klony i kasztany, choć woda była zimniejsza i słodsza i chociaż poprzez piaski coraz gęściej płynęły daremne, wysysane przez trawę strumienie. Albo: kiedyś się z nią rozstawali niebo było płaskie jak dno płytko napełnionego talerza i rosilo chudym, szarym deszczem. Kiedyś się rozstawali, płakaliśmy w dzień albo w nocy i te łzy rozgrzeszały nas ze wszystkich małych i dużych świąt, które sobie w ciągu kilkudziesięciu miesięcy albo kilku dni zrobiliśmy. Nigdy cię nie zapomniałem. Będę cię zawsze kochała, nawet kiedy ty przestaniesz mnie kochać — mówiła ona.

Nikt mnie nie kochał tak jak ty. Nikt już nie będzie — mówiła ona. I płakaliśmy słonymi łzami i było nam dobrze i napływały na nas jesienie za wczesne, porywające nas, szumiące gęstym jeszcze liściem. A ja odpowiadałem jej tak samo. I znowu płakaliśmy we dwoje lub troje i było znowu nam dobrze. Albowiem tylko fakty się powtarzają, przedmioty i ćmy są te same, a jesienie i uczucia podejmujemy zawsze na białych obrusach. A gdyby ktoś mi zarzucił, że się chcę wyprzeć rozpacz, wymigać gęstym słowem — oświadczam, że opowiem wszystko tak jak było, albo tak jak nie było, bo przecież to dla nikogo — poza mną i moimi ćmami — nie ma większego znaczenia.

Nigdy cię nie zapomniałem. Nikt mnie tak nie kochał. Tak mówiła ona, albo ja tak mówiłem. Ach, nieprawda, nieprawda. Wspomnijmy te chmury nisko nad nami leżące, wspomnijmy wiatr porywający słowa, topiący je w morzu lub monotonnej równinie. Gdyby z naszych westchnień miłosnych uformował się obłok i gdyby ten obłok — para wodna przecież — skropił się, spowodowałoby to katastrofalny, zatapiający cały świat potop, spośród którego sterczałaby dumnie i ubogo skalista wysepka, a na tej wysepce zamieszkalibyśmy my. My i nasza miłość. Ja i moja. Ja i moje. Może ty i twoje. A potem jeszcze miłości moich i twoich miłości. A potem, oczywiście, pośliznęłaby się komuś na ostrydze noga i cały ten tłum — czepiając się kurczowo sie-

bie — potoczyłby się w morze. W morze naszej miłości. Wszyscy by w nim szczęśliwie utonęli. Ach, nieprawda, nieprawda.

Samochód blisko zaskowyczał, potem kroki stukwały na schodach, ale ich odgłos zwiął, zanim zbliżył się do drzwi i znowu jest cisza przerywana dalekimi, sennymi hałasami, a w tej ciszy przypomniło mi się, że znowu odbiegłem od fabuły. Myślę, że są to nieświadome ucieczki, może nawet podświadome, bo fabuła jest trudna, skręcona z wielu nici, zasuplana, tłuką się w niej przypominania, fakty i kawałki przeczytanych książek, ćmy i rozpacz i kiedy ktoś tę fabułę pozna — będzie już zbyt późno na to, aby mu ta wiedza była do czegoś przydatna. Ale mimo to napiszę te słowa, bo i tak nie mogę inaczej. Tyle, że daremnie bym szukał początku, jest ich zbyt wiele i teraz, po upływie czasu, nie wiem już jak było naprawdę, w rzeczywistości. Mylił mi się wszystko, fakty się przenikają, zachodzą na siebie, jak cienie wieczorne na ulice. I teraz, kiedy już te wszystkie wstępy zrobiłem — tak jakby to było potrzebne, jakbym pisał ze świadomością, że ktoś w moje pisanie przez ramie mi zagląda — mogę podejść do okna, wyrzucić ostrożnie zza firanek na ulicę, czy ktoś mnie nie widzi, uchylić okna na centymetr, na dwa — i znowu usiąść, aby tym razem napisać już wszystko.

A więc tak, prawda, to nie była jedna kobieta, to były dwie kobiety. A nawet trzy. Ale ta trzecia historia jest najmniej ważna, jest tylko skutkiem, koniecznością, czymś, co musiało się stać prędzej lub później.

Najwięcej trzeba by było powiedzieć o tym najwcześniejszym, ale tu mi się najwięcej faktów zatarło i teraz, kiedy siedzę półprzytomny i kiedy coraz to przedmioty odpływają ode mnie w gęstą ciemność — trudno mi wiernie mówić o tamtych początkach. Wiem tylko, że w tych początkach jest wczesna zima i zwaly brudnego śniegu na dachach i rozbita wieczorem gliniana figurka o ostrych gotyckich rysach. I jest jeszcze mokra ciemność i pleśniejące zielono dachy, niskich drewnianych domków i niewyspane noce w małych hotelikach. Kochaliśmy się wtedy tak, jakbyśmy my pierwsi na świecie to odkryli i zawsze nam było tego mało i wychodziliśmy zbyt wcześnie lub zbyt późno z małych pokoiów na poddaszach, kupowaliśmy herbatniki

w zaśmieconych bufetach dworcowych, a potem wracaliśmy do siebie, gryźliśmy te herbatniki ze śmiechem, aż śmiech milkł nagle, urywał się i znowu kochaliśmy się na skrzypiących łózkach i oknach herbatników.

Wiem, że nie trwało to długo, ale teraz, kiedy piszę słowa, wraca do mnie wszystko jak bujna powódź i przykrywa zieloną falą następne dni, których było wiele. Gubię się w rachubie, tracę wątki, wiem tylko tyle, że się potem z pewnością narodziła pewność posiadania. I miały dni, o których już mało mogę powiedzieć, bo są po prostu tak gęste i jednakowo ciepłe, że ich nie sposób rozdzielić, bo mogę wspomnieć wyraźnie jeszcze tylko ból, ale i ten ból jest niewielki w porównaniu z dzisiejszą nocą. Wtedy myślałem, że tylko ten ból i te nocne chwile, kiedy słycać było jej daleki, ptasi krzyk, że tylko to się liczy i jest jedynie ważne, dziś wiem, było inaczej.

I znowu przerwałem pisanie słów, bo znowu za drzwiami, na klatce schodowej skłębili się kroki, ale teraz się rozbiegli, ucichły sennie, więc mam jeszcze czas, jeszcze mogę coś napisać, wyjaśnić — nie sobie, bo to jest niemożliwe, a komu — tego nie wiem i to nie ma znaczenia.

A wtedy, wtedy któregoś dnia poczułem, że muszę to przerwać, muszę wyjechać, trochę umrzeć, i zrobiłem to łatwo i chętnie. Teraz już nie pamiętam co było ważniejsze, pragnienie, by się w jakiejś obecności zanurzyć, czy potrzeba wywołania w sobie tęsknoty, prawdziwej, dojmującej, takiej, która zaświadczyłaby o mnie, która by mnie samego przekonała, że to jest autentyczne, że jeszcze potrafię czuć, że tamto wszystko daleko pozostawione ciągle się liczy. I tak to sobie budowałem z chwili na chwilę, z dnia na dzień, ale kiedy zaczęły być ważne i bolesne — rozspalało się nagle i przestało istnieć. A wystarczył jeden dzień, jeden wieczór, tylko tyle. Tylko tyle?

Kiedy patrzę w mrok pokoju przez światło świecy widzę na początku tęczową obwódkę wokół płomienia, bo oczy mi łzawią z niewyspania i pewnie w tej wilgoci światła świecy się rozszepcia, a potem widzę też różne przedmioty, każdy osobno. One płyną do mnie, albo odpływają ode mnie, to też chyba ze zmęczenia i bezsenności. Ale i tak w tym mrocznym małym świetle, wśród pływających przedmiotów i sprzętów

jedynie realne są ćmy i czasami kroki na schodach. Kroki jeszcze nie tu, jeszcze nie do tych drzwi.

Wtedy było lato, albo teraz chciałbym, żeby wtedy było lato i siedzieliśmy na betonowych brzegach rzeki i fala do nas przypląwała ciepła, szara, żyjąca. I trzymaliśmy się za ręce wiedząc, że dzieje się to, o czym już zawsze będziemy pamiętać, że to jest przerwa w czasie, więc nie ma dla tego miary ani pojęcia i że 'uż nigdy nie będziemy wiedzieć, czy to trwało długo czy krótko. Bo zapomniałem napisać, że to była ta druga dziewczyna, która się zjawiała tak niespostrzeżenie, jakby tu obok mnie istniała zawsze, tylko, że ja tego nie wiedziałem, a potem ocknąłem się z niewiedzenia. A kiedy przeszły nasze dni, a może miesiące, może lata, to wszystko jedno, bo już napisałem, że nie ma dla tego miary, rozstaliśmy się i zaczęła się moja długa podróż powrotna, z tą samą pustką, z tym samym tak wyraźnym niczym, jakby nie było w ogóle mojego wyjazdu, tylko rozlgnięta wycieczka okólna trasa. Więc jednak w końcu wróciłem dowiedzieć się, że stało się to, co się stało. Już o tym napisałem: to było pod koniec lata, kiedy woda jest zimniejsza i słodsza. Teraz nie wiem skąd ten ból przyszedł, jak się urodził, przecież nie z tego, że ona tu którejś nocy do kogo innego krzyczała swoją ptasią mową, przecież nie z tego, że tam, nad tę rzekę nie mogłem już nigdy wrócić, bo było to tak niematerialne, że aż nieprawdliwe. Więc z czego, może stąd, że sam tego wszystkiego chciałem, sam to wszystko mogłem i bez wiary budowałem? Nie wiem, nie wiem i nigdy już wiedział nie będę. Za bardzo mnie boli, abym mógł się zastanawiać, za bardzo mnie męczy i nudzi pisanie słów. Na tym chciałbym już skończyć, ale trzeba, żebym napisał o jeszcze jednym, bo temu właśnie zawdzięczam to pisanie i to, że siedzę tu drugą dobę, nasłuchując kroków, odganiam ćmy od siebie, ćmy, które skwierczą w płomieniach świec. Tak, powiem jeszcze i to, choć bardzo nie chcę, bo tu trzeba już dokładnie i po kolei, a z tego już każdy wszystkiego się dowie, rozszyfruje, określi do końca.

Tak, to właśnie z tą trzecią dziewczyną przyszedłem tu i tutaj z nią już drugą dobę pozostając. Kiedy się wtedy, na samym początku obudziłem z krótkiego snu, ona jeszcze spała, z odrzuconą do tyłu ręką, z bezwstydnym rozchyłonymi nogami, z drobnymi kropkami potu nad ustami. Patrzyłem na nią długo, bo była prawdziwie piękna w pierwszym, świetlistym brzasku, miała dobrą i spokojną twarz, na której ta noc nie zostawiła żadnych śladów. Patrzyłem na nią długo, aż pomyślałem wreszcie, że jest niesprawiedliwość w tym spokoju, w śnie i w nasyce. Pomyślałem o tamtych, które utraciłem, o tamtych, na miejsce których weszła tak po prostu, bez wysiłku, bez zagładania w przeszłość — niewinnie i ufnie. Pomyślałem jeszcze, że to się znowu zaczyna, tak jak tamto się kiedyś zaczynało, a potem biegnie już samo, z moim udziałem, ale bez mojej zgody czy niezgody, unosząc mnie i fakty, niepodległe i samostanne. I pomyślałem jeszcze, że tak już być nie może. Pewnie były jeszcze inne myśli, pewnie ich było dużo, a wszystkie ważne i prawdziwe. Tak, na pewno, ale już nie mam siły, aby je sobie przypominać i zapisywać słowami na papierze.

Kiedy objąłem dłońmi jej szyję otworzyła oczy i od razu zobaczyłem w nich uśmiech i radość. Potem na krótko zdziwiła się, lub może mi się tylko tak wydawało, a potem już nie widziałem niczego, nawet strachu, bo żrenice, jakoś tak bardzo szybko utonęły gdzieś głęboko, a pokazały się białka, najpierw jeszcze drgające, a później dziwnie nieruchome. Więc już nic nie miałem tu do roboty, wstałem, przykryłem ją koldrą, bo się nagle zawstydzili jej nagością i usiadłem tutaj, gdzie siedzę. Potem chodziłem do pokoju, mówiłem do niej wiedząc, że na pewno mi nic nie odpowie, a potem piłem wódkę i wino i pisałem to, co napisałem. To już wszystko. Teraz, zanim odezwę się kroki, które będą coraz głośniejsze, mówią do tych drzwi, wstanę, zdmuchnę świecę i otworzę okno. Jeszcze spojrzę na nią, strzępnę ćmy z rękopisu i polecę w dół. To będzie właśnie lot ćmy, ciężki, niezgrabny, skierowany w jeden cel. Ale palni się będą — krócej.



Rysował: E. Inglot



„BIESIADY Z KUMPLAMI”) to ostatnia, wydana już pośmiertnie, książka Waldemara Babinicza. Zawiera ona dziewięć opowiadań, z których obfitejszo najdłuższe „W kregu Andersena” jest też chyba najbardziej charakterystyczne dla tego zbioru. Chodzi o niego, mówiąc krótko, o wyjazd młodego Michała Kozendry do Odense na uroczystości, poświęcone pamięci Hansa Christiana Andersena. Młody Polak, mieszkaniec wsi kieleckiej, zaprzyjaźnia się tam z Dunką Bente, znającą nieco język polski i w rezultacie zaprasza ją w odwiedziny do swej rodzinnej miejscowości. Wyobrażenia Kozendry o życiu na Zachodzie i wyobrażenia młodej Dunki o życiu w Polsce są nieustannym pasmem niespodzianek w konfrontacji z oglądaną i poznawaną rzeczywistością obydwu krajów. I to właśnie stanowią główny, choć zapewne nie jedyny, problem wszystkich bez mała opowiadań Babinicza: konfrontacja marzenia i życia, przeszłości i teraźniejszości, legendy i prawdy. Ludzie ze wsi jadą do miasta, aby się dorobić i powrócić na wieś w glorię sławy i znaczenia. Nie zawsze im się to udaje. Córka krawcowej kradnie pieniądze klientce, pozabawiając matkę zarobku i nadszarpując reputację jej i swoją własną. Grajek porzuca swój zespół, bo nie może wytrzymać z kierownikiem-zadufkiem i zaciąga się gdzie indziej, po to, aby w końcu dojść do wniosku, że gdzie indziej będzie na pewno inaczej, ale nie wiadomo, czy będzie le-

piej. Wnuczek kupuje w prezencie swoim dziadkom telewizor, który wprowadza w życie wsi ciekawość, zamieszanie i coś więcej. I tak dalej i tym podobne sprawy. Dzieją się one w szkole i w domu, na wsi i w małym miasteczku, wśród młodych i starych, zwolenników nowej rzeczywistości i ludzi jej niechętnych. Opowiadania Babinicza „Biesiady z kum-

plami” pozwala również prześledzić, jak inspirował Babinicza jego osobiste doświadczenia. Jako wieloletni dyrektor Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy miał wciąg do czynienia z młodzieżą wiejską a mieszkając stale na wsi stykał się również z chłopami. I z jedną i z drugą grupą ludzką miał kontakt na co dzień,

morem, zwłaszcza w gesto stosowanych i na ogół bardzo celnych dialogach. Dialogi uznać trzeba za silną stronę talentu Babinicza. Zwracam na to uwagę, gdyż dialog jako odbicie kolorytu środowiska i cech osobowych bohatera znika właściwie ze współczesnej prozy. Coraz częściej bohaterowie mówią językiem samego autora czyli językiem literackim, pozbawionym barwy lokalnej. Autor nie sili się na nowoczesne rozwiązania, próżno by szukać w jego prozie eksperymentów formalnych. W wypróbowanej, tradycyjnej na ogół, ale przecież nie tradycyjnie konwencji opowiada o tym, co widzi i wie, o tym, co zdolał spostrzec, usłyszeć i przemysleć.

Uderza w tych opowiadaniach skromność jej autora. Bardziej chodziło mu o to, by dać rzecz do czytania, niż zaszokować paru zblazowanych snobów. W pełni mu się to udało. „Biesiady z kumplami” trafią z pewnością do rąk szerszych rzesz czytelników, będą czytane z zainteresowaniem i pożytkiem. Talent pisarza, jego wiedza o ludziach, współczucie dla nich i opromieniający wszystko humor — oto, czego dowodnym świadectwem jest ostatnia książka Waldemara Babinicza.

\*) Waldemar Babinicz: „BIESIADY Z KUMPLAMI”. Wydawnictwo Lubelskie, 1971 r., stron 313, cena: zł 20.

JAN KOPROWSKI

## Ostatnia książka Babinicza

plami” mają za temat współczesność. Zadne z nich nie dzieje się dawniej (dawniej to znaczy przed wojną), akcja każdego z nich rozgrywa się dziś i teraz. Co najwyżej tu i ówdzie bohater lub narrator cofną się myślami wstecz do czasów swej młodości, retrospekcje jednak występują raczej rzadko i w rozmiarach marginesowych. Cały ten tom można by określić jako kronikę życia dzisiejszej wsi. Głównie wsi.

znal ich małe i wielkie sprawy, przeżycia i poglądy, upodobania i niechęci. Autentyzm tego tomu daje o sobie znać na każdej nieledwie stronie. „Biesiady z kumplami” przynoszą prawdę o ludziach, o ich pracy i zamierzeniach, są zwierciadłem budzącej się i realizowanej tęsknoty za innym, lepszym i pełniejszym życiem człowieka wsi.

Są te opowiadania Babinicza bardzo komunikatywne, często podbarwione hu-

KRYSTYNA Ł. PALUCH

## SZYBKIE ŻYCIE



Dziwna książka! Podobna do albumu prywatnych fotografii, na których autor utrwalił momenty ze swego „szybkiego życia”, z życia swoich bliskich i znajomych, migawki z dziejów stolicy, kraju. Momenty znaczące obok blahych, intymne obok zdarzeń dziejowych, zdarzenia konkretne obok snów i wyobrażeń.

Zbiór krótkich opowiadań (Hartenberga \*) (niektóre zaledwie jednostronicowe) tworzy literacki wizerunek komunisty, jednego z wielu, którzy swoją konspiracyjną przedwojenną działalność kontynuowali po wojnie w zmienionych warunkach — legalnie już — jako działacze partyjni, od których w pewnym momencie — życie zażądało całkowitej zmiany sposobu walki. „Album fotografii” kończy się właśnie na takim momencie, na „fotografii” z lat 50-tych.

Rzeczywistość w opowiadaniu „Rozmowa z Pierwszym” — jest zgodna z poetyką tych lat — szczytowych dla literatury socrealizmu — upozowana. Sylwetki działaczy pokazane są na tle lokalu Komitetu Powla-

utowego partii, gdzie zbierały się nicy odgórnych dyrektyw z niemi wymogów terenu. Postacie te świadome są roli jaką pełnią, świadome także wyrzeczeń, jakie ona za sobą pociąga, a często i konieczności rezygnacji z realizowania osobistych celów. Rekompensuje ją świadomość wielkości sprawy, której poświęcili życie i którą kontynuują od wczesnych głodnych lat młodości.

Wymienione opowiadanie prowokuje do zastanowienia się, czy nie mamy w wypadku całego zbioru do czynienia z reliktem literatury tzw. socrealizmu — późnionym o dobre lat 20! A jednak nie! O wymowie całości zbioru decydują bowiem opowiadania pozostałe, zgodnie z logiką pamięci — piękniejące im dalej sięgnąć nią w głąb czasu. Tym starszym właśnie — właściwa jest nie do podrobienia prawdziwa aura wyblakłych, trawionych przez czas fotografii. Niszcząca a jednocześnie uszlachetniająca jego działalność — wywołała z pamięci autora to jedno z najmniejszych realnych, kunsztownych opowiadań pt. „Latawiec”. Baś-

niowa scenaria robotniczego przedmieścia z początku wieku, sceneria głodnego dzieciństwa dostąpiła tu sublimacji ziszczono snu o wspaniałe barwnym latawcu, który unosi małego bohatera ponad rzeczywistość — zbyt wysoko — gdzie jego jedynym pragnieniem staje się — powrót na ziemię! Ten mały poemat, godny jest swego patrona — Andersena — przywołanego na brudne przedmieście w aureoli swych niezwykłych baśni.

Na innych migawkowych „Zdjęciach” widzimy najbliższą rodzinę pisarza, ukochaną matkę, obydwie babie-staryszki, braci, kochane kobiety, przyjaciół i towarzyszy. Z głódnej pamięci wywołany został niezwykły zapach świeżego chleba i waniliowych bułeczek, przed głódne zdziwienia oczy przywołana została Lampa Alady — ów przedziwnie kontrastujący ze skromnością robot-

niczego wnętrza, iskrzący wielobarwnie abażur lampy wiszącej pod sufitem. Utrwalony został nawet cień... szpicla — uosobienie smory strachu nieodłącznej od niebezpiecznej działalności konspiracyjnej ludzi, którzy zmagali się z nią, którzy pomimo bezustannie czynnego lęku — jak mówi pisarz — „brali na siebie dobrowolnie obowiązki przerastające ich siły”.

Wyciszona wielkość ludzka sąsiaduje w tych opowiadaniach z niezamierzoną wesołością, małość obok tragizmu. Chwilami — te opowieści o minionym, o sile namiętności i kruchości ludzkiego życia, o przezwyciężaniu bólu i lęku, a i pragnienie zwykłej wygody i poczucia bezpieczeństwa zamiast czynnej walki — przechodzą w desperacki manifest bezimiennego, dla którego jedyną szansą człowieczeństwa, szansą „wyjścia poza granice przeciętności” — była świadomie obrana postawa aktywna, włączenie się do walki o zmianę przynajmniej części rzeczywistości. Opowiadany z literackim kunsztem patos takich opowiadań jak „Noikturn”, „Demonstracja”, „Aleja nr 37”, „Prośba o sen” — decyduje o randze tego zbioru. Tam bowiem, gdzie udało się autorowi uniknąć używania „frazesów ze złej deklamacji” — jak mówi — w tych opowiadaniach, w których zawierzył niezawodnemu instynktowi poetyki i wymowie zdarzeń — mamy do czynienia z opowiadaniem w pełni przekonywającym.

\*) Henryk Hartenberg: „Szybkie życie”. Wydawnictwo Łódzkie, 1971 r.



PRAWO I BEZPRAWIE

Duński adwokat i publicysta, bojownik o pokój i przyjaźń między narodami Carl Madsen w swojej książce „Prawo i bezprawie” przedstawia tragiczny los swojego kraju w czasie okupacji hitlerowskiej. Dania od prawie stu lat była pod silnym wpływem i naciskiem niemieckim, a w okresie poprzedzającym drugą wojnę światową faszystami i szowinizm znalazł w tym kraju bardzo podatny dla siebie grunt. Szerzyło się szpiegostwo, postępowi działacze szybko zapelnili więzienia, a rząd podporządkował się całkowicie brunatnym oprawcom z Berlina. Szczególną zastępcą nazistom niemieckim oddała duńska policja, w której na czołowych stanowiskach znaleźli się szpiedzy i gestapowcy.

Okupacja Danii nastąpiła w kwietniu 1940 roku za cichą zgodą ówczesnego rządu, są podejrzenia, że istniało nawet tajne porozumienie pomiędzy rządami niemieckim i duńskim, aby zajęcie Danii odbyło się bez walki.

Niemal natychmiast zaczął się organizować ruch oporu, a pierwszą partią, która wykazała największą przebiegłość i dyscyplinę była partia komunistyczna. Rozpoczęły się też natychmiast aresztowania postępowych działaczy i komunistów w czym gestapowcom pomagała policja duńska.

Czytając „Prawo i bezprawie” jakże często nasuwa się porównanie do okupacji naszego kraju, tylko, że nasza tragedia była ustokrotniona, była bardziej totalna, była tragedią narodu a nie jednostek. Termin „kolaboranci” nie był znany w polskim języku w czasie okupacji, nie miał racji bytu w kraju, który przez wszystkie tamte lata znajdował się w stanie wojny z Niemcami, choć był przez tych Niemców okupowany.

E. J.

Carl Madsen: PRAWO I BEZPRAWIE: Wyd. KIW. 1971 r. Stron 440. Cena 35 zł.

## Przeszłość i teraźniejszość

Koncepcja historii naszych czasów, którą Geoffrey Barraclough rozwija na kartach swego „Wstępu do historii współczesnej”, kontynuuje dawniejsze doświadczenia i przemyślenia wybitnego brytyjskiego historyka. Gdybyśmy pragnęli prześledzić ich rozwój, musieliśmy zatrzymać się dłużej nad innym, wcześniejszym jego dziełem, które wie czy nie bogatszym jeszcze w treść i bardziej zapładniającym intelektualnie. Myślę o tomie, który powyższy periodyk brytyjski „Economist” uznał za najznakomitszy zbiór esejów, jaki ukazał się w Anglii po ostatniej wojnie, słowem o książce Barraclough, opatrzonej znamienym tytułem: „Historia w zmieniającym się świecie”, która pojawiła się jeszcze w ostatnim miesiącu 1955 roku. Polski eseista Aleksander Rogalski trafnie odczytał ją, jako „rodzaj protestu i reakcji na idee, w których kształtowała się o-

sobowość przyszłego historyka (przede wszystkim na idee historiografii niemieckiej), a jednocześnie świadectwo nowego spojrzenia na najbardziej neuralgiczne zagadnienia dziejów Europy i świata”. Wyzwanie, jakie autor rzucił tu historiograficznemu tradycjonalizmowi, było tym bardziej drapieżne, że dokonywał on przecież rozrachunku także z samym sobą, z tym systemem wartości, który sam reprezentował jako profesor historii średniowiecznej w uniwersytecie, uczony, wychowany w tradycyjnym klimacie uczelni brytyjskich i niemieckich, uprawiający jedną z najmniej podatnych na wszelkie zmiany gałęzi nauki historycznej. Rozrachunek G. Barraclough obejmuje zarówno tradycyjny pogląd na historię jako naukę, jak i zapatrywanie na europejski i światowy proces dziejowy. Jeżeli uczony występował przeciwko — jak pisał — fałszywej analogii między nauka-

mi przyrodniczymi a nauką historyczną, pomiędzy historią „naturalną” a historią ludzką, to odrzucał post — pozytywistyczny, epigoński w naszej epoce model historii jako nauki niemal czystej, wyizolowanej od otaczającego nas świata, tej historii, którą Francuzi zwą historyczną. Czynił to nie tyle pod wpływem doświad-

ność totalnej rewizji poglądu na dzieje Europy, nakażące zastanowienie się nad dziejową rolą zapoznawanych dotąd ludów i regionów, rozszerzenie horyzontów nauki historycznej na nieznane jej lądy i czasy. Wszystko to, zintelektualizowane w umyśle uczonego, zawiodło go do stwierdzenia, iż ta koncepcja hi-

kowanym w 1964 roku, a więc wcale sporo przed ukazaniem się polskiego przekładu. Zaprezentowana przez G. Barraclough synteza jest niezmiernie wszechstronna, „obejmująca wszystkie procesy historyotwórcze i ukazująca je we wzajemnych związkach i współzależnościach” — podkreśla autor przedmowy do polskiego wydania Ryszard Frelek. Jest jednocześnie syntezą dynamiczną, w której uczony stara się śledzić kierunki zmienności współczesnego świata. „Mogą spierać się z nią nie tylko historycy — powiada R. Frelek — ale także ekonomiści, socjologowie i przedstawiciele innych dyscyplin, z krytykami literatury i sztuki włącznie. Barraclough patrzy na narodziły się współczesności w sposób panoramiczny, dostrzega i pokazuje wszystkie najważniejsze zjawiska, jednakże jego punkt obserwacyjny znajduje się w określonym miejscu”. Nie chodzi tu oczywiście jedynie o Wielką Brytanię czy najdalej do przyczynienia uwarunkowania tradycją, zasięgiem źródeł i literatury podjętych

tematów, to, co potocznie nazywamy zachodnim punktem widzenia, a co ma właśnie bardzo złożone przyczyny i uwarunkowania”. I dlatego polski historyk, śledząc myśl brytyjskiego uczonego, wielokrotnie — mimo całej fascynacji poglądami autora „Wstępu do historii współczesnej” — chciałby odmiennie interpretować przedstawiane procesy i zjawiska.

Poważne, naukowe uprawianie historii współczesnej wymaga nie tyle zadaptowania do niej tradycyjnych wzorców metodologicznych, ile wypracowania nowych. Przede wszystkim — podkreśla Barraclough — nie wystarczy tu już tradycyjne dla historyków „piszących pod wpływem niemieckiej szkoły historycznej” jedynie genetyczne czy przyuczynowe wyjaśnianie zjawisk. „Dla historyka zajmującego się teraźniejszością ważne jest nie to, by zademonstrować (o czym wszyscy wiemy), że szata Klio jest tkaniną bez szwu, lecz by wyróżnić rozmaite wzory, w które jest utkana”.

JOZEF GRZELAK

## GEOFFREY BARRACLOUGH

czeń warsztatowych, lecz pod ciśnieniem dokonujących się dziejów. Inspiracje zewnętrzne, mianowicie doświadczenia ostatniej wojny, kazały mu zwątpić w treści tradycyjnej historiografii i podjąć walkę z ograniczeniami i jednostronnościami dziejopisarskiego europocentryzmu. Wkroczył Barraclough w ślady Woltera, ale nie pod wpływem lektury filozofów. Prowokował mieszczącego czytelnika, gdy powiadał, iż zwycięstwo stalingradzkie sprawia koniecz-

stori, w której wyrósł i którą dotychczas akceptował, nie dostarcza prawdziwego oglądu świata, „jest poglądem cząstkowym, odzwierciedlającym zapatrywanie określonej fazy lub okresu czasu”, którego wartość w świetle wydarzeń późniejszych stała się wielce wątpliwa.

Przypomnienie tych dawniejszych przemyśleń historyka pozwala nam lepiej zrozumieć jego poglądy, wyłożone we „Wstępie do historii współczesnej”, opubli-



**R**EPREZENTANT Polski w koszykówce, Trams, dożywno zdyskwalifikowany. Nie wiadomo bliżej co jest z kolegą Tramsa, Kwiatkowskim, który nieoczekiwanie „ulotnił” się z kadry. Ponoć — jak sugeruje jedno z pism sportowych — zawodnik ten nie otrzymał zwolnienia z pracy. Coś niebywalego! U nas, w Polsce, reprezentacyjny koszykarz nie otrzymuje zwolnienia z pracy na zgrupowanie, a później na mecze! Nie, chyba kryje się za tym coś zgoła innego?

MICHAŁ STRZELECKI

## ZMOWA MILCZENIA

Następne znaki zapytania należy postawić przy nazwiskach dwóch reprezentacyjnych piłkarzy kraju, zawodników warszawskiej Legii — Grotyńskim i Zmijewskim. Od pewnego czasu słuch o nich całkowicie zaginął. A jeszcze wiosną tego roku koło ZMS przy Legii zwołano Zmijewskiego z dalszego odbywania kary sportowej, wychodząc z założenia, że ten „aniołek” potrzebny jest bardzo w ważnych spotkaniach pucharowych. Czyżby „aniołek”

wszedł znów w znowę z szatanem?

W tajemniczych okolicznościach potoczyła się również dymisja cenionego fachowca piłkarskiego, trenera Zientary z Legii. Jeszcze na kilka dni przed oficjalnym komunikatem Legii o zdjęciu go ze stanowiska szkoleniowca w tym klubie, trener Zientara snuł w wypowiedziach prasowych rozważania na temat przygotowania swego zespołu do nowej rywalizacji z zabrskimi Górnikami. Co się z nim obecnie dzieje? Jak się orientuje nie objął on funkcji trenera w żadnym innym klubie w Polsce.

Od Tatr do Bałtyku sunie stugębna plotka o przyczynach, które spowodowały, że z areny sportowej zniknęło nagle kilku uwielbianych do

niedawna idółów. Wersje są różne, a na ich podstawie można by stworzyć scenariusz filmowy nie gorszy od mistrza Hitchcocka. Plotek nie ma co powtarzać, chociaż tkwi w nich chyba żdźbło prawdy.

Chcielibyśmy jednak poznać wreszcie całą prawdę. Tego wymaga jawność życia publicznego w naszym kraju, interes sportu. W ostatnim czasie pisze się w prasie i szeroko komentuje zdjęcia z wysokich stanowisk różnych ważnych ongiś person, które z tych, czy innych względów zawiody zaufanie społeczeństwa. Wokół wielkich nazwisk sportowców panuje jednak znowa milczenie.

Ot, można sobie pohulać do woli na łamach pism, w radiu i w telewizji pisząc o

przewinieniach maluczkich sportowców, o sprzedanym za „pół litra” meczu klasy B, czy o chuligańskim wybruku jakiejś „parszywej owcy” w stadzie sportowym. Wąra jednak od nosicieli zła, którzy stoją na szczycie hierarchii naszego życia sportowego. Tam stosunkowo rzadko bardziej zdecydowanie ingerują władze naszego sportu. A jeżeli przewinienie jest tak oczywiste, że nie da go się zakamulować, to wówczas otacza się je mgiełką tajemnicy, aby świństwo, czy też wielkie świństwo nie nabrało rozgłosu. Takiemu postępowaniu przyświecają ponoć wyższe cele. Jak? Tego już nikt nie zdoła wytłumaczyć.

Tak więc w imię złe pojętych interesów tej dziedziny życia społecznego, przemilcza się pewne wydarzenia i świadomie toleruje kardynalne wypaczenia. Nie ma to nic wspólnego z socjalistyczną moralnością, socjalistycznym wychowaniem młodego pokolenia. Chowanie bowiem głowy w piasek sprzyja dalszemu plehleniu się zła, a bezkarność

zwiększa tylko samowolę osobników podatnych na łamanie praw, obowiązujących nie tylko w życiu sportowym.

Młodzi sportowcy uczą się postępowania od swych starszych kolegów. Kiedy dorastają stają się ich żywym odbiciem — nie tylko na boisku, ale i poza nim. Pełniają więc często świadomie, lub nieświadomie, te same grzechy co starsi sportowcy, stosując te same wymagania i licząc na bezkarność, gdy stają się wschodzącymi gwiazdami. Chociażby z tych względów wychowawczych, należy z całą konsekwencją karać i piętnować publicznie wszelkie odstępstwa — nawet najbardziej zasłużonych sportowców — od ogólnie przyjętych w naszym kraju norm prawnomoralnych. Jest to również jedna z form wychowawczych, nie mniej, a może nawet bardziej skuteczna od innych.

W innych krajach socjalistycznych walczy się z przestępstwami zła w sporcie z otwartą przyłbicą. W Czechosłowacji, dla przykładu

zdyskwalifikowano po mistrzostwach światach wszystkich reprezentacyjnych piłkarzy, łącznie z trenerem, za machlojki handlowe z firmami zachodnimi. Nie wstydzono się o tym powiadomić społeczeństwo, ani nie bano się, że ta decyzja osłabi pozycję naszych sportowców w świecie piłkarskim. Po krótkotrwałym kryzysie piłka nożna w CSRS znów pnie się wyraźnie ku europejskiemu szczytowi. W innym z bratnich naszych krajów — o czym mogliśmy dowiedzieć się z polskiej prasy — ukarano czołowych sportowców za przemyt i za innego rodzaju wykroczenia.

Nie wstydzmy się i my mówić prawdy o postępowaniu niektórych naszych sportowców. Nie wszyscy, którzy uprawiają sport są przecież „aniołami”. To normalni ludzie ze swymi zaletami i wadami charakteru, podlegają też tym samym prawom co całe nasze społeczeństwo. Chcąc bronić sport przed oszczerstwami zarzutami, trzeba wpiwierać zdrowie atmosferę jaka w nim panuje. Zmowa milczenia niczego nie rozwiązuje.

ANDRZEJ GRUN

## Łódź sercem malowana



Jan Dziewałtowski — Gintowt. Baszta Fabryczna — Widzew

**DO DZIŚ PANUJE PRZEKONANIE, ŻE ŁÓDŹ TO MIASTO DLA MALARZY NIELASKAWE.** Nie, nie chodzi tu tym razem o

administratorów kultury. Mówiąc, że Łódź dla malarzy nielaskawa, miałem na myśli dość powszechne opinie, że miasto to jako temat,

jako źródło inspiracji nie znalazło, jak dotąd, uznania w oczach twórców. Nie wiem jak i gdzie rodzą się takie opinie, a jeszcze bardziej dziwi mnie ich uporczywa, niemożliwa żywotność.

Wystawa Jana Dziewałtowskiego-Gintowta w Salonie na Piotrkowskiej winna rozwiać fałszywą opinię o „Łodzi nie malowniczej”, bo jest to, doprawdy, ekspozycja „malarza Łódź malującego”. I to malującego w sposób nie szablonowy, nie wedle utartych schematów, a w oparciu o własne wrażenia. A więc nie są to ponure rzędy okien fabrycznych, kominy i dymy gęste, lecz fragmenty miasta widziane oczyma człowieka pogodnego, malarza, który przedstawia się jako wrażliwy, subtelny kolorysta, czuły na światło i barwę, artysta szukającego zarówno pretekstu malarskiego, jak i odpowiedniego motywu zamykającego w sobie jakąś cząstkę prawdy o mieście, w którym żyje i pracuje.

Jan Dziewałtowski-Gintowt do Łodzi przyjechał z Wilna. Początek jego drogi twórczej zaczyna się w pracowniach Wydziału Sztuk Pięknych wileńskiego Uniwersytetu im. Stefana Batorego, prowadzonych przez takich profesorów, jak: Kubicki, Jamontt, Szturman, Hoppen. A więc w pracowniach prowadzonych rzetelnie, z naciskiem na rzemiosło, na fach. Ale zdobyte umiejętności rzemieślnicze nie zatarły nigdy wrażliwości, nie skrepiły wiązami rutyny, a przeciwnie, pozwalają do dziś swobodnie realizować na płótnach artystyczne zamysły. Na katalogu wystawy Jana Dziewałtowskiego jest wydrukowany tekst: „Malarstwo, grafika, Jubileusz czterdziestolecia

twórczości. 1931—1971”. Ogromna większość pokazanych prac powstała w latach ostatnich. Czterdzieści lat twórczego wysiłku, a na płótnach ten sam spokój, mądra radość z aktywnego uczestnictwa w życiu, skromność i wiara w słuszność własnej drogi twórczej, co na pierwszych, młodzieńczych pracach, sygnowanych przedwojennymi datami w rodzinnym Wilnie.

Zasadą, którą szczególnie upodobał sobie Jan Dziewałtowski w komponowaniu łódzkich pejzaży, jest prosta zasada kontrastu: Łódź stara i nowa. Łódź ruder i przedmieść dalekich i nowych osiedli, bloków, wieżowców. W tych zestawieniach nie ma żadnej chęci kokietowania ewentualnego mecenasa-nabywcy. Jest natomiast ogromny ładunek ciepła, sympatii i romantycznego nastroju. Artysta potrafił spojrzeć z nutą rozrzewnienia na malownicze rudery, wcale przecież nie malownicze dla ich mieszkańców. Potrafił znaleźć ich osobliwy urok i stworzyć dokumentację ich istnienia niedługiego już przecież. Potrafił wreszcie odkryć romantyzm nowych osiedli. Brzmi to niewiarygodnie, ten „romantyzm łódzkich osiedli mieszkaniowych”. A jednak. Bo oto zobaczył je malarz o zmiernym, przy pierwszych zapalonych światłach, albo w zimowy wieczór poprzez ulotną zasłonę śniegowych płatków.

Są inne obrazy Łodzi — fragmenty fabryk, podobne zamkom wurom, wieżom strażniczym, murem niezdybitym. Artysta spojrział na architekturę przemysłową w sposób własny. Odnalazł w niej te wszystkie elementy, których zapożyczyła ona z budownictwa obronnego, i nad którymi trzęsą się dziś konserwatorzy wszelkich

zabytków i historycy architektury. Jest wreszcie obraz na wystawie, w którym Dziewałtowski dał jakąś bardzo trafną i lapidarną syntezę Łodzi dawnej, jej historii, robotniczej tradycji. Obraz nosi tytuł „Kominny” — kominy zobaczone jak monumentalne rzeźby na tle chmurnego nieba. Tym plótnem bez tłumów, sztandarów, bez patosu malarz powiedział wiele o ludziach właśnie i o mieście.

Są wreszcie na wystawie portrety. Głowa ślepeca, stary kupiec, pełen ciepła portret córki, delikatnie pastelem rysowana głowa siostry, zwałisty, ciężki portret Chelmońskiego. Ludzie są malowani inaczej niż pejzaże, które artysta zatapia w lekkiej mgiełce, w świetle rozproszonym, w których czasem zacierają kontury, szczegóły, w których przeważa kolor jasny, przygaszony, gdzieś niedługo tylko jarzący się blaskiem. Ludzie są malowani wyraźnie, dosadnie w innej, jakby bardziej konkretnej, cięższej gamie barwy. Są określone rysunkiem precyzyjnym. Ludzie, w przeciwieństwie do pejzaży, są smutni.

Poza obrazami olejnymi ekspozycja Jana Dziewałtowskiego zawiera jeszcze grafikę i rysunek — exlibrisy i pejzaże. Widać tu sprawność ręki, precyzję kreski, czystość kompozycji, oszczędność środków. Prądy, kierunki i mody przechodziły mimo pracowni Dziewałtowskiego. On szedł swoją drogą, która nie wiodła do wielkich odkryć, nieznanych kontywentów. Szedł drogą, kierując się drogowskazami, na których wypisane były: szczerłość, wierność samemu sobie, poszanowanie dla codzienności. I może dlatego odkrył tyle rzeczy zdumiewających i niecodziennych.

**O**STATNIEGO naszego roku zakupiańskiego poszliśmy z Janem na cmentarz duży, ten przy Kamiencu. Na grobie Eugeniusza Malaczewskiego odkryliśmy piękny szafar spiński. Zasiał go wiatr, wierzniejszy od czytelników „Dziejów Bałki Murmańskiej”. Porównywałem barwę kielicha kwiatu do pasofioletu Giewontowych zrebów, który to kolor przybierają w sierpniowy wieczór po pogodnym dniu. Mój towarzyszył gładził od paru chwil kwiat oczyma i powiedział: „Jaki mały!” Z intonacji nietrudno było odgadnąć, że ten przymiotnik ma dla niego znaczenie wartościujące znacznie szersze. Znaczył: i ładny, i miły, i sprawiający radość. Uświadomiłem sobie nagle, że Jan, od paru dobrych lat obywatel Zakopanego, a malopolanin z kraju lat dziecińczych, nie poświęcił dotąd ani jednego wiersza ogromowi i majestatycznej surowości Tatr. Zadałem mu pytanie, które miało charakter trochę testowy: Jacy pisarze czy artyści renesansu — miałem od dawna świadomość jego duchowe

go i temperamentnego porównawstwa z tamtym okresem — są mu najbliżsi. Odpowiedź padła dokładnie taka, jakiej się spodziewałem: „Kochanowski — i po chwili zastanowienia się — Cellini”.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

## Jan Sztudynger czyli piszcie o Łodzi

Nietrudno dla obu twórców znaleźć nader istotny komponent — jak to się teraz uczucie mówi, żeby nie wypaść z obiegu — wspólny. Kochanowski przygotowując u schyłku życia zbiorowe wydanie utworów, najwięcej starania poświęcił zgromadzeniu i układowi swych drobnotek właśnie. Pisał do wydawcy: „Wyrzucić co z fraszek nie zda mi się, bo to jest jakoby dusza ich. Si quod pruriat incitare possunt”. Cellini błysnął nad swoim i przyszłym cza-

turystyczne podobieństwo Goliata, sztuka renesansu jako całość byłaby mimo wszystko nudna, a jako odbicie życia w ważkim okresie — niepełna i zaktamana. Celliniemu trzeba dojrzeć i ocenić też na tle czasu. Sztudyngera fraszkopisarza tak samo trzeba zobaczyć na tle epoki, którą uważamy za bardzo ważką i w sumie cenimy, ale która miała niemal właściwości, jakie chcemy nazywać minionymi. Wtedy właśnie do-

cenimy swoje zaangażowanie autora „Piórka”.

Przykład, któremu nadaję w pamięci rangę pars prototo. Pyta mnie w ostatnim bodaj roku przed „Październikiem” redaktor działu kulturalnego wpływowej gazety

pewnej farmie w Południowej Afryce żyje z gospodarzami na prawach domownika. O amatorskim teatrze młodych w Gdańsku, co podobno występuje z całkiem innym od praktykowanych i bardzo dziwnym programem, Radzę, żeby się trochę zajął również takimi rzeczami... Parsknął: „Coś ty?! To przecież marginesy, nie tematy pryncypialne!”

Pamiętam, jak pewne piśmo — rok był młody: 1947 — zaatakowało drugie za obecność ideową, albowiem to drugie pochwalilo ówczesnych ojców Jeleniej Góry za dbałość o skwer i kwiaty przy ulicy naprzeciw dworca. Kwiaty, zaniedbanie, dzięki wino na ścianach domów (roślina, której, zdaje się, sążone jest wkrótce znaleźć się pod ochroną), „mieszkański śmietnik” realiiw atmosfery domowej w wierszach Konstantego Ideofona, także i uliczne kosze do śmieci — gdyż zaprzęta- nie sobie uwagi miejscem wrzucenia niedopałka opóźnić może marsz naprzód — oto niektóre, na wyrwyki, elementy „marginesu” pierwszych „czasów minionych”. Potem w większości wróciły

do łask. Za to miejsca ich zajęły: standard wyposażenia nowych mieszkań ponad aprioryczne minimum, wszystko, co w czasie wielkorocznicy uroczystości na polach Grunwaldu nie było wylizaniem arealów i zbiorom cyfr rozdzielanych dźwięcznym wyrazem „koma”, polonez grywany podczas publicznego podchodzenia meża stanu po chleb dożytkowy, jako że podda- nie rytmu kroków dyktator- wi muzyki, do tego przywo- łanie uśmiechu na twarz, byłoby poważnym uchybieniem ideowej pryncypialno- ści w oczach „niedojrzałego społeczeństwa”.

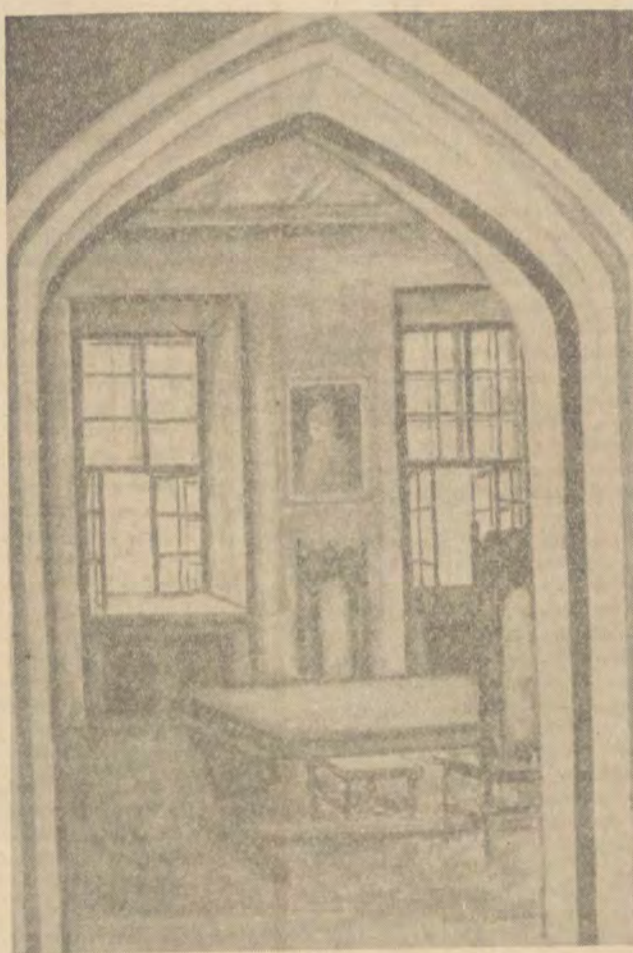
Każdym zbiorkiem fraszek, zawsze przekornie, czy wręcz manifestacyjnie opatrywanych tytułem, będącym poet- tyczną peryfrazą rzeczy naj- drobniejszej z drobnych („Piórka”, „Puch ostu”, „Kropki liryczne”, „Wiórki”, „Latki”, „Supelki”) Sztau- dynger, nie tylko wesolec, lecz i mędrzec, ujmował się właśnie za rangą drobno- stek, wskazywał na ich spełnianiu życia pełniejszego i naturalnego. Zwalczając w świadomości czytelników za-



# PEJZAŻE IRENEUSZA OLSZEWSKIEGO

Ireneusz Olszewski\*) jest malarzem nie tylko z wykształcenia. Jest przede wszystkim malarzem z wyboru. Po ukończeniu Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, gdzie studiował pod kierunkiem profesorów: Adama Rycharskiego i Stanisława Byrskiego, po wielu trudach i niepowodzeniach zdecydował się wejść na drogę twórczości artystycznej, odrzucając często pokusy doraźnej chłatory na korzyść własnych zamierzeń twórczych, własnych celów artystycznych. W wyniku takiej decyzji, w małym ciasnym pokoiku przy ul. Gdańskiej, służącym Olszewskiemu za pracownię, powstają obrazy. W miarę upływu lat jest ich coraz więcej, przestrzeń małego pokoiku kurczy się coraz bardziej. Od czasu do czasu kilka spośród płócien zalegających pod ścianami opuszcza pracownię — idą na wystawę. Większość z nich wraca niebawem. Któraś z kolei wystawa, w Łasku, w Tomaszowie, w Pabianicach, w Skierniewicach skończyła się. Przestrzeń małego pokoiku kurczy się, a droga jeszcze tak długa. Cel ostateczny — tak daleki, i znowu jakaś wystawa, i znowu wracają obrazy...

Olszewski jest malarzem obecnym w łódzkiej plastyce. Dziesięć wystaw indywidualnych w Łodzi i województwie, udział w wystawach okręgowych i ogólnopolskich, uczestnictwo w plenerach ziemi łódzkiej i pokazach poplenerowych — ta krótka statystyka nie wymaga chyba komentarzy. Olszewski najchętniej i bez wstąpienia najlepiej maluje pejzaże. Kiedyś malował kompozycje figuralne, abstrakcje, kwiaty. Zajmowała go faktura, innym razem — kolor. Próbowal także swoich sił w rzeźbie. Najdłuższą zatrzymał się na pejzażu. Przypuszczam, że stało się tak dlatego, że Olszewski jest naturą impresyjną, łatwo poddająca się nastrojom miejsca i chwili. Obrazy figuralne i abstrakcja były obrazami zmyślo-



1. Olszewski — Muzeum w Opatowie

nym i w czterech ścianach pracowni. Natomiast pejzaż był czymś, co Olszewski zobaczył na własne oczy, co przeżył. Dodatkowym powodem była możliwość konfrontacji różnych pejzaży — Olszewski jeździł do Jugosławii, znalazł się w innym słońcu, innym świetle, wśród innych form i sekwencji kolorystycznych. Wzbogacił swoją wyobraźnię.

Cykli pejzaży, które powstały w Jugosławii i po powrocie, uważać należy za najlepsze w twórczości Olszewskiego.

Droga Olszewskiego biegnie

zyskiem jak każda droga malarza szukającego — biegnie od klęski do zwycięstwa. To, że zwycięstw było mniej niż klęsk, w moim przekonaniu świadczy jedynie o uporze i nieustępliwości. Wydaje mi się jednak, że warto nie tracić z oczu jego obrazów. Ze interesującą twórczością Olszewskiego przyniesie nam może w przyszłości niejedno jeszcze zaskoczenie.

A. G.

\*) Na marginesie wystawy Ireneusza Olszewskiego w Klubie Dziennikarza w Łodzi.

## POLONICA

CZESŁAW MAREK

„Neue Zürcher Zeitung” (z 17 września br.) zamieszcza artykuł o pianinie, pedagogu i kompozytorze, Czesławie Marku, z okazji 80-lecia jego urodzin. Czesław Marek, od dawna osiedzony w Zurychu, pochodzi z Polski,

gdzie w latach 1910—1914 pobierał nauki muzyczne początkowo u Teodora Leszyckiego, później u Hansa Pfitznera. W latach 1929—1930 był dyrektorem Państwowego Konserwatorium w Poznaniu, po czym powrócił do Zurychu, w którym mieszka od 1915 roku. W roku 1961 Czesław Marek wydał książkę pt. „Was ist musikalisch?” (Co jest muzyczne). Za swoje osiągnięcia kompozytorskie Czesław Marek otrzymał w r. 1929 nagrodę Akademii

Umiejętności w Krakowie, a rok przedtem za swoją sinfonia brevis nagrodę na konkursie im. Schuberta w Wiedniu. Z okazji 80-lecia jego urodzin przyznano mu w Zurychu Nagelę — Medaille za zasługi w dziedzinie nauczania gry fortepianowej i teorii muzyki.

JK

## POLONICA

korzeniony nawyk (będący praktycznie tylko laickim wariantem anglikańskiego purytyzmu) ostrego rozdziału życia programowanego na godne uwagi, śmiertelnie poważne meritum i nie zasługujący na nią niemerytoryczny margines. Zwalczal samo pojęcie marginesu. „Pozwól mi umrzeć za drobność” — mówi w przejmującym mikroliwym, jakby celowo włożonym między cykli fraszek o treści szczególnie tzw. lekkiej, a w innym epigramacie zwraca uwagę poprzez aluzyjny obraz — metaforę — na psychiczną przydatność blachostki w burzach życia: „Tak przewyciężałem cię, halny wicherze, że myśle sobie rzeczy najcichsze”. Tak, właśnie wytrwała obrona marginesów i kameralnych uczuć — a że nie tak zwano bezowocną, świadczą nakłady jego natychmiast rozchodzących się tomików — uważam za istotny, obok kultury uśmiechu, wkład Jana w walkę o pełnię i barwę życia przez nas i na naszych oczach.

Nie od razu to zrozumiałem i krzywiłem się na fraszki łódzkie, które przy-

nosił mi do Wydawnictwa Łódzkiego na przełomie lat 1959 — 1960. Był to początek mojej edytorii. Zachęciłem popularnego autora do ułożenia tomu miniatur o Łodzi i regionie. Działacze kultury, i nie tylko kultury, w każdej niemal wypowiedzi potracali o brak książek o Łodzi i nieinteresowanie się pisarzy łódzkich regionem. Umówiliśmy się, że będzie przynosił te utwory sukcesywnie, w miarę ich powstawania. Przynosił ładne i dowcipne, ale wciąż „marginesowe”. Wziął może order nieszczęsny osłina, Co na Kościuszki (w centrum miasta — uwaga moja, T. Ch.) masę drzew pościął. Ach, gdybym wtedy był w jego pobliżu. Nie krzyż bym dał mu, lecz tego po krzyżu. Albo fraszka „Na kwitnące topole”. „Topole, na was patrzę oburzenia pełny: tyle w mieście włóknarzy marnować bawelny!” Albo o tym, że w zdmkniętej Łodzi przydałaby się choć jedna kawiarnia dla niepalących. Sztudynger wymyślił już dla niej nazwę: „Czy ładna? „Bezdyńka”. Albo wiersz o ówczesnej walce łódzkiego Muzeum Sztuki z

Muzeum Narodowym w Warszawie o głośny obraz Rodakowskiego „Matka”. Walczono dotąd — stwierdza w nim autor — jak historia długa i szeroka — o różne tam „babki z Piękną Heleną na czele, tymczasem dla nas, w Łodzi — mistrzowsko zmienia ton i nastrój — matczyne ręce do prawdy nie mają ceny”. Po wzruszającym wierszu na cześć „kobiet łódzkiej, robotnicy i towarzyski, i kochanki, która niczym starożytny Atlas, dźwiga na plecach cały świat ciężarów i trosk rodzinnych, utrzymywania domu i wychowywania dzieci, przyniosł (spodziewałem się — pasował w tym miejscu — epigramatu plakatowego: np. z motywem robotnicy walczącej przy krosnach o pokój) dźwięczny dwuwiersz: „Nie wiem, jak jest łodzianka. Nie zrobiłem żadnej manćka”. Krzywiłem się na owe „marginesy”, ale coraz rzadziej, zacząłem pojmować, że te drobniaki z różnych parafii — jedne czysto żartobliwe, inne atakujące bądź chwalebne rzeczy niby blahe — w sumie składają się właśnie na obraz Łodzi pul-

„Bal w operze” Heubergera, którym Teatr Muzyczny rozpoczął nowy sezon, jest wystawiony na tej scenie po raz drugi. Po raz pierwszy w 1959 roku kierownictwa muzycznego podjął się sam Bohdan Wodiczko. Dzisiejsze kierownictwo Teatru Muzycznego, nie bez racji zapewne, traktuje to jako swego rodzaju sprawdzian artystyczny operetki. Rzecz działa się tak dawno, że nikt dziś nie pamięta już pierwszego łódzkiego kształtu scenicznego „Bal w operze” i dzisiejsi realizatorzy nie musieli wpaść w kompleks, że ich przedstawienie będzie gorsze niż Wodiczki.

Popularność „Bal w operze” usprawiedliwia jego wznowienie. Richard Heuberger, austriacki kompozytor i dyrygent (1850—1914) napisał muzykę do libretta według komedii Delacour-Hennequin „Trzy różowe dominy”. Muzyka ta nie jest ani zbyt oryginalna, ani najwyższej próby, jest za to błyskotliwa, bezpretensjonalna, melodyjna i zabawna. I właśnie muzyczne poczucie humoru — jeśli tak można powiedzieć — jest w moim przekonaniu, największą jej zaletą. Przesmutne arie, niby z „Traviaty”, śpiewane przez bohaterów w komicznych sytuacjach scenicznych, sugerują reżyserowi parodystyczną koncepcję przedstawienia. Bo „Bal w operze” jest chyba, zamierzonym czy niezamierzonym żartem, parodią opery.

I tak potraktowany jest naprawdę zabawnie. Za parodystycznym potraktowaniem przemawia również fabuła lekko myśkłą trącają. Przyszycielmy się już do typowych dla oper i operetek nonsensów jak ten, że maż nie poznaje własnej żony tylko dlatego, że oczy zakryła kawalkiem jedwabiu. A także, że żony wystawiają na próbę wierność mężów, cnotę tak rzadką i kruchą, że raczej ją hołubić niż doświadczać należy. Więc z próbujących pożartować trzeba.

Nie jestem przekonana, jaką koncepcję obrał reżyser przedstawienia Henryk Mozer. Albowiem obsada męska wydaje się przez cały czas rozumieć żartobliwy, parodystyczny sens tekstu i muzyki, obsada żeńska natomiast — przynajmniej częściowo — traktuje rzecz prawie serio. Trochę w tym winy i autorów, którzy mężczyznom dali większe pole do popisu aktorskiego.

W każdym razie, reżyser starał się dać przedstawienie żywe, pełne ruchu. W pierwszej scenie może zbyt ruchliwe, gdy dwaj panowie śpiewają tańcząc walczyka, a przy swego rodzaju priwetach co najmniej połowę uwagi koncentrować muszą na śliskiej podłodze. Koncepcji inscenizatorskiej zabrakło trochę spójności. Akt drugi — bal w operze, na tle jasnych, żywych

TERESA WOJCIECHOWSKA

# „Bal w operze”

aktów pierwszego i trzeciego rozgrywa się na ciemnej i zbyt pustej scenie. Widać zaciążyło na nim piętno zdrady małżeńskiej i podejrzliwości. Niezbyt skutecznie ożywiły ten akt wstawki baletowe.

Strona muzyczna „Bal w operze” przygotowana została nienagannie przez Beatę Ambros, która na premierach orkiestrę prowadziła. A mimo lekkiego kalibru, jaki ta pozycja reprezentuje, rzecz wcale nie jest muzycznie łatwa dla wykonawców. Obok walców aktorskich, obycia scenicznego, wymaga bowiem dobrej wokalistyki, sprawnych wyszkolonych głosów. Dotyczy to szczególnie partii kobiecych. W roli wypróbowującej wierność swego męża Anieli styszyliśmy K. Bednarczyk, która po raz pierwszy na scenie Teatru Muzycznego wystąpiła w premierowej obsadzie. Jest to artystka obdarzona dobrymi warunkami scenicznymi, muzyczną i ładnym, wyszkolonym głosem. Brak jej może rutyny aktorskiej, obycia scenicznego, ale to przyjdzie z czasem. W roli jej przyjaciółki Małgorzaty wystąpiła w pierwszej obsadzie Krystyna Nyc-Wronko, która jak zawsze jest ozdobą sceny Teatru Muzycznego, a jej występ gwarantuje dobry śpiew i dobre aktorstwo. W drugiej obsadzie oglądaliśmy Irenę Harasim, której warunki głosowe nie wystarczają na występowanie w Teatrze Muzycznym, a aktorstwo razi drażniącą manierą afektacji i krygowania się. W roli pokojówki Hortensji wystąpiły K. Jarmulówna i M. Wilkówna. Pierwsza wdzięczna i efektowna aktorka, tym razem nie w pełni podolała swej partii głosowo. M. Wilkówna, o mniejszym może doświadczeniu scenicznym, ale dysponująca większym głosem, również była fertyczna, sprytna subretka. W charakterystycznej roli ciotki Palmiry Sabina Grochowska

była znacznie zabawniejsza niż Anita Nikitin, która do tej roli jest po prostu za mało charakterystyczna. Epizodyczną rolę Fedory graja Anna Gębicka i Anna Bielanka.

W roli Jerzego Dumenil — paryskiego bon vivanta lepiej podobał mi się Jerzy Nejman niż A. Brodniewicz. Był dojrzały aktorsko, bardziej przekonywający, dysponuje też głosem o przyjemniejszym brzmieniu. Jego przyjaciel Paweł Aubier znalazł w Januszu Duńskim odwagę o dużym poczuciu humoru i muzykalności. Wuj Teofila grał z powodzeniem Z. Bobowski i Cz. Jarosiewicz. Obydwaj zabawni acz nie przerysowani, chociaż każdy obrał inną koncepcję aktorską. W rolę młodego z winy autorów, rol młodszego Henryka wystąpili Zbigniew Waloch i Edward Kamiński, obydwaj sympatyczni i dobrze śpiewający. A na marginesie tego przedstawienia trzeba zauważyć, że nasz Teatr Muzyczny dorobił się sporego zespołu solistów, a szczególnie tenorów, których pozadrodziec mu mogą inne teatry tego typu w kraju.

W sumie — „Bal w operze”, mimo pewnych reżyserskich niedociągnięć, jest pozycją udaną, zabawną i z pewnością będzie cieszył się u łódzian powodzeniem.

PS. Przepraszam niektórych wykonawców za to, że nie wymieniałam ich imienia. Niestety, redaktorzy programu z konsekwentnym uporem podają tylko pierwsze litery imion wykonawców — śpiewaków. Ta oszczędność papieru nie obejmuje solistów — tancerzy oraz, oczywiście, realizatorów przedstawienia oraz ich asystentów.

\*) „Bal w operze”. Muzyka: R. Heuberger, libretto: V. Leon i H. Waldberg. Kierownictwo muzyczne: B. Ambros, reżyseria: H. Mozer, choreografia: I. Spiewakowska, scenografia: J. Napiórkowski.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ R. Łoboda — SIEDEM PRZYKAZAŃ LUDZKICH
  - ★ K. Pogorzelec — MIĘDZY SERCEM A ROZUMEM
  - ★ T. Wojciechowska — NERWICA CYBERNETYCZNA
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

opisujące (Jan nie poddawał się, jak już wspomniałem, presji klerkowskiej krytyki, by poeci zarzucili realistyczny obraz), już to przetwarzające w materię poetycką stare, ginące legendy. Były to pierwsze jego dłuższe wiersze od czasu wydania w 1947 roku uhonorowanych Nagrodą „Odry”, „Strof wrocławskich” — a zarazem już i ostatnie. Pewien byłem, że „Łatki na szachownicy” — taki tytuł obmyśleliśmy do książki — przyjęte zostaną przez miejscową prasę i działaczy z dużą wdzięcznością i przyniosą ich autorowi lokalną nagrodę literacką. Pisma centralne, dla których Jan nie był dość europejski, czyli eksperymentujący, milczały. Z miejscowych zabrał głos tylko „Express Ilustrowany” w osobie ówczesnego naczelnego. Ubolewał on, że autor nie dał wyrazu złożonym... nie ukazał głównych... nie atakował zasadniczych... Określonego dnia nie doczytałem się komunikatu o nagrodzie. Tom przemknął też mimo bibliotek repertuarowych regionalnych domów kultury i poradni. Od lat nie mogę się dosłuchać, by

któryś z wierszy o Łodzi, Sulejowie, Piotrkowie i Łęczycy i jej rogatym szlachcicu i wielu innych miejscowościach wygłaszano na corocznych eliminacjach Konkursu Recytatorskiego. Dwa nakłady „Łatek” rozeszły się momentalnie wśród tysięcy łódzian i niełódzian, którzy czytając, przywiązywali się do swojej i cudzej „małej ojczyzny”, uczyli się i odczuli — tak, jak to zostało już wyżej powiedziane czy, ściślej, przepowiedziane. Działacze kultury, i nie tylko, nadal w wypowiedziach potracali o brak książek o Łodzi i wytykali pisarzom niezainteresowanie się swoim regionem, choć pisarze wydali od tamtego czasu mnóstwo — a w tym i świetne — książki o tej tematyce. Był to bowiem, jak uświadomiłem sobie z czasem, głos nagrany i nie korygowany przez lekturę. Niebawem autor antybartkiewiczowski (aluzja do tytułu słynnej książki Bartkiewicza) epigramatu: „Boli i zawstydzą nas to Powiedzenie: Łódź — zle miasto” — opuścił na stałe Łódź i nikt nawet tego, jak się zdaje, wówczas nie zauważył.



# PODAREK DLA NAJMŁODSZYCH



Z radością należy stwierdzić, iż stosunkowo od niedawna Wydawnictwo Łódzkie zaczęło zaspokajać potrzeby czytelników młodzieży. Za tę inicjatywę pięknie mu dzięki! Ostatnio natomiast pomyślano także o najmłodszych — prezentując aż cztery tytuły trzech autorów.

Tomik Jana Huszczy: **Wierszyki i bajeczki**\*) wypadnie chyba uznać za debiut pisarski w tej dziedzinie. Trudno to mówić o pewnej określonej tematyce, bowiem tomik ów skupia treści różne. Znajdziemy tu wierszyki i o wiosennych porządkach i siwym szklarku-mrozie, o małych hobbystach, list z kolonii leśnych i wrażeń z wycieczki do lasu. Wydaje się jednak, iż zasadniczą tendencją autora jest, aby owe „wierszyki i bajeczki” spełniały pewną funkcję wychowawczą. Świadczyłyby o tym zarówno takie teksty jak *Zimowa prośba ptaszki* czy *Skargą księżki*, trzy portrety „małych negatywnych”, jak wreszcie opowiadanie końcowe o buncie zabawek.

Huszcza szuka kontaktu z dzieckiem poprzez wiersze — apele, poprzez metodę portretowania małych czytelników, poprzez opisy zajęć i czynności z reguły dziecka dostępnymi. Nie są to zabiegi nowe: podobnie czynił już przecież Tuńska-Hoffmanowa i Stanisław Jaehowicz. Ale autor *Leniwego Zbyszka* pokazuje — na szczęście — dydaktykę „na wesoło”, a więc nie tę spod znaku *Złotej Różdżki*, lecz raczej *Brzechowska*. I — co bardzo ważne — nie mizdrzy się do małałatków, nie schlebia im, nie rozgaduje zbytnio. To chyba droga właściwa, a choć zaledwie rozpoczęta, może napawać ufnością. Przecież to pierwszy krok tego pisarza ku dzieciom.

*Gadanie baranie*\*\*\*) jest kolejną pozycją znanego poety, który potrafił się już dobrze zasłużyć najmłodszym, a teraz znowu przypomniał o sobie nowym tomikiem. Bohaterami omawianej książeczki Aleksandra Rymkiewicza są głównie zwierzątka, a każdy z wierszyków w niej zawartych stanowi inteligentny, dobrze zrobiony żarcik. W ogóle żartobli-

wość to zasadnicza cecha tego miłego zbioru, cecha — bardzo przez dzieci doceniana, a zatem podkreślenia tu godna.

Poeta nie ogranicza się jednak wyłącznie do dowcipnych, a niekiedy zaskakujących nawet pomysłów, zaprezentowanych w *Mojm psie*, *Ryjącym lwie*, *Zyrafie i zebrze*, a także wielu innych. Na uwagę zasługuje nie tylko melodyjność wierszy, osiągnięta dzięki stosowanemu powtórzeniom i refronom, ale także wyzyskiwanie efektów dźwiękowych i graficznych (*Gadanie baranie*, *Boa*, *Ryjący lew*, przy czym ten ostatni świetnie nadaje się do deklamacji). Walory tekstowe sprawiają, że wiersze te stają się łatwo przyswajalne pamięciowo — rzecz niebagatelna w poezji dla najmłodszych.

Przed wszystkim jednak zwraca uwagę bezpośredniość stosunku pisarza do dzieci. Autor jest jakby obecny w swych utworach i obecny wśród dzieci, z którymi się bawi, z którymi rozmawia, zarówno wtedy, gdy pokazuje im węża „pędzłem oswojonego”, jak i wtedy, gdy w liryczny, wrzuszający sposób nawołuje do wspomnień dzieciństwa i stawia pomost porozumienia między dziećmi a dorosłymi (*Artysta i chłopiec*, *Kto to nocą w lesie wola*, *Słoneczny drub*). Powiedziałby się kiedyś skromnie Rymkiewicz, iż pisanie dla dzieci to tylko „zabawa żręczna i wesoła”, ujmująca jedynie „częstkę świata”. Wydaje się, iż ocenił się nadto skromnie, bo przecież autorowi „*Czarnego zajęcia*” nieobce jest przekonanie, że „dla dzieci należy pisać tak samo jak dla dorosłych, tylko znacznie lepiej”. Rymkiewicz bowiem nie tylko bawi się z dzieckiem, umie się odwołać do jego fantazji, ale wprowadzając do swych wierszy motywy przyrody (której dostrzeganie stanowi piękna i trwała cecha jego twórczości „dorosłej”), potrafi niejako uwrażliwić go na jej urok i mądrze wpływać na kształtowanie postaw estetycznych małych czytelników (Dom zwierząt, *Rozmowa z kukułką*). Jest to więc niewątpliwie „zabawa

żręczna i wesoła”, lecz i zarazem twórczość traktowana poważnie, o czym dziełi najprawdopodobniej nie wiedzą, ale nie wykluczone, iż to odczuwają. Pisząc zatem o Rymkiewiczu żalować należy jedynie, że ta jego częśćka twórczości lirycznej jest z reguły kwitowana przez krytykę, tak marginesowo, tak bardzo oszczędnie.

Igor Sikirycki ofiarował najmłodszym aż dwie książeczki. Jedną z nich to *Bajki na dobranoc*\*\*\*), w których obok uprzednio już wydanych, takich jak *Najlepszy kucharz*, *Awantura w Przechwałkowie*, *Przygody Rycerza Chwałki*, *O komarze i orkiestrze*, *Stara kuznia* — znalazły się inne teksty.

*Cyrk w Szczyrku*\*\*\*\*) przynosi natomiast aż osiem nowych utworów.

W *Bajkach na dobranoc* autor obficie czerpie z tematyki baśniowej i dobrze czyni, bo małałatki, nawet z epoki telewizji i serio pojętych wypraw księżycowych zawsze są baśnią chętnymi i życzliwymi odbiorcami. Ale w utworach Sikiryckiego, mimo występujących tradycyjnych realiów baśniowych, nie wszystko przebiega w sposób z ową tradycją zgodny. Oto na zamku pojawia się mięty w złoczystych kubbkach, król nie siedzi sztywno na tronie, lecz zjeżdża po poręczu niczym psotny chłopiec, bohater nie leci na czarodziejskim dywanie, lecz fruwa w balonie, a Rycerz Chwałkieta bardziej przypomina *Papkina*, niż *Don Kichota*. W *Przechwałkowie* akcja jest pełna dynamizmu, wydarzenia przebiegają w tempie błyskawicznym, a ważką prawdę o tym, że „bez zgody nie ma ni pieśni, ni chleba” i że wszyscy jesteśmy sobie potrzebni wyklada się dzieciom jasno i zrozumiale, w sposób ich umysłom dostępny.

Tak samo przekonywająco w historii o komarowej orkiestrze (całością trochę przypominającej *Ptasie radio Tuwima*, a liryczną partią występu konika — koncert *Sarabandy z baśni O krasnoludkach...* Konopnickiej) tłumaczy autor, że „naj-

lepsza rzecz to zgoda”. Również chętnie, a jednocześnie udalnie i dowcipnie sięga poeta do przyszłów i powieżeń ludowych, czego dowodem pełen humor *Orzeszek*, *Płiszki* i *Najlepszy kucharz*, w którym pisarz odświeża stary, acz stale aktualny motyw. W *Janku Ryzykancie* — pomyslowo ilustruje przygodę bohatera, tym różniąc się od *Glupiego Gabryśia*, iż pogodnie, nawet radośnie stwierdza, że niczego mu nie brak prócz piątej klepki. Element przekory pełni tu określoną funkcję humorystyczną, a humor — jak wiadomo — to rzecz ogromnie przez dzieci ceniona i w twórczości dla nich podejmowanej stanowi warunek sine qua non.

Ostatnie dwa utwory (*O mieniu zboża...* i *Stara kuznia*) ujawniają z kolei inne umiejętności pisarskie Sikiryckiego. Poeta przenosząc mianowicie akcję w czasach zamierzone i opowiadając o wynalazieniu młyna, wiatraka, a także pracy w kuzni potrafi napisać teksty treściami poznawczymi w sposób dla małego czytelnika zrozumiały. Jednocześnie — w epoce radaru i lotów w kosmos — uczy szacunku dla tradycji, ludzkiej inwencji, trudów i osiągnięć.

*Cyrk w Szczyrku* — utrzymany w tonacji żartobliwej — zaskakuje fantastyką i wielością pomysłów i z pewnością podobnie się będzie najmłodszym czytelnikom. Rozbawi ich niewątpliwie lew ze sztucznej szczęka, przygoda samolotowego *Raka Łobuziaka*, przeżycia *Grześka*, rozgrywane się (na szczęście tylko we śnie, kłopoty *Króla Gwoźdźnika* i *szewca czarodzieja*).

Sikirycki wyczarowuje postaci fantastyczne i przedziwne, stwarza sytuacje nieprawdopodobne i zabawne, konstruując w ten sposób fabułę atrakcyjną i pełną humoru, trafiającą „bez pudła” do dziecięcej wyobraźni i upodobań.

Na zakończenie tych rozważań słów parę o stronie zewnętrznej omawianych edycji. Godzi się tu podkreślić troszkę wydawcy o tzw. szatę graficzną wszystkich czterech tomów. Rzecz to nie bez znaczenia, jeśli chodzi o najmłodszego odbiorcę, niewątpliwie ważniejsza niż duża, wyraźna i starannie dla niego dobrana czcionka. Jak wiadomo — w tym wieku cenę się niezmiernie wszelkie „obrazki”. Należy zatem mniemać, iż barwne, rozświetlone ilustracje znajdują uznanie w sensie dosłownym i przenośnym — w oczach parolotków. Dotyczy to zwłaszcza *Gadania Baraniego*, w którym B. Pawlikowska zademonstrowała technikę „mazania” kolorową kredką, technikę tak bliską małym, dziecięcym ręką.

\*) Jan Huszcza: *Wierszyki i bajeczki*. Łódź 1969 Wyd. Łódzkie. Cena 20 zł.

\*\*) Aleksander Rymkiewicz: *Gadanie baranie*. Łódź 1970 Wyd. Łódzkie. Cena 16 zł.

\*\*\*) Igor Sikirycki: *Bajki na dobranoc*. Łódź 1970 Wyd. Łódzkie. Cena 30 zł.

\*\*\*\*) Igor Sikirycki: *Cyrk w Szczyrku*. Łódź 1970 Wyd. Łódzkie. Cena 24 zł.



## NA POCZĄTEK SEZONU

Zapowiadając premierę „Fantazego” Słowackiego, spikerka zakomunikowała, że spektaklem tym Teatr Telewizji rozpoczyna nowy sezon. Takie oświadczenie jest bardzo zobowiązujące. Wiadomo bowiem, że każdy teatr przykłada do otwarcia sezonu szczególną wagę i przygotowuje się do niego z wielką starannością.

Tak było i z „Fantazym”. Sięgnięto po sztandarowe dzieło polskiego romantyzmu, reżyserię powierzono jednemu z najbardziej interesujących ludzi naszego teatru, o obsadę (poza niewielkimi wyjątkami) postarano się także najlepszą. Waszytko wskazywało na to, że wystarczy musi być „w dziesiątkę”. Same atuty, żadnego niemal ryzyka.

A przecież telewizyjny „Fantazym” (nadany 4.X.71, reżyseria — Gustaw Holoubek, reż. tv — Joanna Wiśniewska) nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Zaczęło się już od nie najciekawszego tym razem wprowadzenia dokonanego przez tak świetnego zawsze docenta Stefana Treugutta.

A potem wszystko, a raczej prawie wszystko było nie tak. Scenografia przedstawienia zatrzymała się w pół drogi między umownością a dosłownością. Aktorzy w większości tkwili w konwencji teatru scenicznego. Nawet realizacja telewizyjna ograniczała się do dyskretnego rejestrowania sytuacji rodem z teatru. Słowem „Fantazym” nie chwycił. Efekt uroczystego otwarcia sezonu teatralnego w telewizji — zawiódł.

Przy okazji przypomina się telewizyjny „Mazepa”, nadany w 1969 roku także w reżyserii Gustawa Holoubka i wyróżniony nagrodą „Złotego Elcraanu”. Na te tamtego widowiska „Fantazym” błyska światłelnikiem bardzo słabym. A przecież i do tamtego świetnego skądinąd spektaklu zgłaszałem swego czasu zastrzeżenia.

Zarzucałem realizatorowi, że zbyt mało wierzy w telewizję, a za bardzo we wszechogarniającą magię teatru. Widowska swe w telewizji; buduje Holoubek w oparciu o doświadczenia teatralne, w małym stopniu próbując je modyfikować. A przecież nie wszystko to, co fascynuje na deskach scenicznych, sprawdza się na małym, dwuwymiarowym ekranie telewizora. Pisałem o tym na marginesie „Mazepy”, w przypadku „Fantazego” rzecz się jeszcze pogłębiła.

Wspomniałem wyżej o scenografii. W teatrze zadowalamy się umownymi makietami drzew. Przekraczając próg teatru, przyjmujemy niejako panujące tu zasady gry. Te same makieły ustawione w studio telewizyjnym nie korzystają z teatralnego prawa umowności. Kamera telewizyjna obnaża ich sztuczność.

Niemal żenująco wyglądał sarkofag, czy grobowiec, o którym w ostatniej scenie oparto umierającego Majora. Czy nie lepiej było zastosować pełną umowność i rozegrać „Fantazego” na przykład w samych kotarach?

Realizator telewizyjny honorował na ogół teatralno-sceniczną koncepcję przedstawienia. Przeważały plany średnie, umożliwiające wykonawcom upozorywować się w malownicze grupy także rodem z teatru. Zbliżeń było stosunkowo mało, a jeżeli zdarzyły się, to te sceny należały do najlepszych w całym widowisku, że przypomnę tylko rozmowę Hrabiny Idalii z Fantazym u wejścia do kaplicy omentarnej.

Z wykonawców chęlnym wyróżnić tylko niektórych. Przede wszystkim Mirosławą Dubrawską — do niedawna aktorkę Teatru Wybrzeża — wręcz znakomitą w roli Hrabiny Idalii. Właśnie Dubrawska grała z wielkim wyczuciem kamer telewizyjnych, inaczej niż gra się na scenie teatru. Natomiast rola Hrabiny Respektowej w wykonaniu świetnej przecież Ireny Kwiatkowskiej była chyba nieporozumieniem. Jakby żywcem wyjęta z „Dam i huzarów” Fredry.

Z męskich wykonawców najciekawszy był Jan Englert w roli zesłańca Jana. Tytułowa rola Fantazego nie stała się nowym sukcesem Gustawa Holoubka. Jeżeli dodać do tego fatalny wręcz poziom techniczny zapisu teleorekordowego, będziemy mieli miarę niezbyt efektownego otwarcia sezonu w Teatrze Telewizji. Miejmy nadzieję, że telewizja prędko nam ten zawód zrekompenzuje.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Przekonać odbiorcę dzieła, że wady są jego siłą, to sztuka niezwykła, udało się ona Arturowi Pennowi, reżyserowi filmu „OBLAWA”. O co w tej grze chodzi? Zapewne o siłę oddziaływania. Pokazać widzo-

wi szeryfa samotnie walczącego z bezprawiem w filmie „W samo południe”, to postawić go wobec zdarzenia rozegranego gdzieś w historii, to zmusić go wprowadzić do moralnej refleksji, ale zostawić w poczuciu fizycz-

nego bezpieczeństwa, zakłóconego zaledwie chwilą myśli, a inoże i to nie. Pokazać szeryfa samotnie walczącego z bezprawiem w filmie „Oblawa”, to uświadomić widzowi zagrożenie będące tu obok. Można zginać na schodach gmachu policji w obecności mieszkańców własnego miasteczka, można zginać na oczach milionów ludzi, patrzących w ekran telewizorów, tak, jak zginał Lee Oswald.

Artur Penn zna dobrze tych, którzy jego film będą oglądać, zna ich myślenie i mentalność. Zagrał więc środkami, które uznaj za najskuteczniejsze — pewien melodramatyzm treści połączony z ekspresją odcierającą się niemal o historię. Ciężnienie sensacji i emocji osiąga w „Oblawie” poziom, w którym nie ma miejsca na chwilę oddechu, czy poczucia bezpieczeństwa, wynikającego ze świadomości ekranowej fikcji. Bój się, histeryzuj, burzaj, wyjdź — wszystko jedno, ale nie patrz biernie. Ten stan aktywności widza osiąga Penn wprzęgając w swe działanie absolutne mistrzostwo filmowej narracji wielowłokowej akcji, umiejętność tworzenia atmosfery, budzenia napięcia dochodzącego do histerii, znakomitego prowadzenia aktorów.

Miasteczko w jego filmie jest mikrokosmosem zła, którego

motorem głównym jest gnani i przemoc. Historia, która w nim się zdarzyła, odsłania kulisy tej przemocy, gnani jest nie tylko wynikiem nietolerancji i rasizmu, wyrasta z psychozy lęku, społecznej niepewności i z podziałów społecznych, które w kraju ludzi zamożnych są bardziej znaczące, wywołujące zawiść i konkurencję, potrzebę rewanzu nawet na tych, co nic nie zawinił. Może właśnie na nich, dlatego, że są bezbroni. Przeciw tej sile ukrytej zaledwie pod naskorkiem porządku, spokojnego życia mieszkańców prowincjonalnego miasteczka amerykańskiego Południa, nie nie wskóra sprawiedliwość, uosobiona w działaniu szeryfa Caldera. Przerajający obraz i sens tych spraw wyraża Penn w sposób prowokacyjnie agresywny i przekonujący, że tak trzeba. Czas masowych środków przekazu w sposób straszliwy przytępiły ludzkie reakcje na dokumentalne obrazy zbrodni. Trzeba szoków, by z tego oziępienia wyrwać, trzeba nawet uprosić, ale zsyntetyzować to, co przecieka na co dzień przez rozproszone obrazy i informacje o świecie, w którym żyjemy, choćby to był świat dalekiego, amerykańskiego Południa.

W ostatnich latach głośno o kinie latynoamerykańskim. Ogromne sukcesy na ekranach świata odnoszą filmy brazylijskie i kubańskie. Podziwia się ich dojrzałość i odkrywczość formalną, inspirowaną autentyczną, a egzotyczną dla świata tradycją kulturową. „KREW KONDORA” jest jednakże filmem reprezentującym nieznaną, bo prawie nie istniejącą kinematografię boliwijską, filmem obdarowanym w Wenecji w 1969 roku nagrodą im. George'a Sadoula dla dzieła, które „z prostotą i powagą stylu apeluje do ludzkiej solidarności w istnieniu jednego z krajów Trzeciego Świata”. W tym uzasadnieniu nagrody młodzi się wprowadzić charakterystyka filmu, ale jak to zwykle z nią bywa, niewiele ona nam mówi. W istocie jest to film, o którym można tylko powiedzieć, iż ukazuje bezmierną nudę boliwijskich Indian, że oskarża o nią i o rasizm rząd swego państwa, że domaga się podstawowych ludzkich praw, już tylko życia, dla siedemdziesięciu procent mieszkańców kraju. Można też dodać, że jest to film w swym kształcie artystycznym niezwykle prosty, naiwny, czasem wręcz nieudolny. To wszystko jednak znaczy jeszcze bardzo mało.

„Krew kondora”, reżysera Jorga Sanjinesa może właśnie

dzięki swej prostocie przypomina te czasy dziejów kina, w których ludzi fascynował sam fakt możliwości zarejestrowania na taśmie rzeczywistości nieznannej, dalekiej, niezwykłej. Zapisana we „Krwii kondora” rzeczywistość odkrywa dopiero znaczenia słów informacji politycznej czy reportażowej, podawanych przez gazety świata. Słów często wyświechtanych, za którymi nie zawsze czujemy ich rzeczywiste sensy. Mówi o ndeży boliwijskich Indian, a zobaczycie ich (autentyczni mieszkańcy wsi grają w filmie Sanjinesa) z całą ich nudzą, wiekowym zacołaniem, ale i z całą ich tradycją, kulturą, poczuciem godności, to jakby dwie różne sprawy. Anegdota filmu słuzi ideal, tym bardziej, że zbudowano ją w oparciu o autentyczne fakty, ale najbardziej znaczną własnie te poidokumentalne zapisy życia, którego nie znamy. Surowy i szlachetny, rejestrujący prawdę i oskarżycielski jest ton tego filmu, do którego trudno przykładać kryteria wartościujące normalne dzieło ekranowe. Jest to niejaki u źródeł dawnej historii kina i o tym się myśli, ale sens istotny „Krwii kondora” to idea, jaką nadał temu filmowi jego twórca, jego sens społeczny.

EWA NURCZYŃSKA



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## NAJBARDZIEJ AMERYKAŃSKI Z AMERYKAŃSKICH MALARZY

Cale życie malował amerykańskie miasta i osiedla, amerykańskie ulice, stacje benzynowe, przedziały w pociągach, amerykańskie stacje kolejowe, sale kinowe, knajpy, kawiarnie i motele.

Edward Hopper (1882-1967) uchodzi obecnie za najbardziej amerykańskiego z amerykańskich malarzy. „Nikt nie namalował tak wnikliwego portretu Ameryki dwudziestego wieku jak Edward Hopper” — powiedział Lloyd Goodrich, dyrektor nowojorskiego Whitney Museum of American Art, w swej monografii o tym malarzu.

Ale zawiódłby się ten, kto w obrazach Hoppera chciałby zobaczyć Amerykę drapaczy chmur, nieustającego potoku samochodowych maszyn, zbiorowiska ludzi. Edward Hopper, syn kupca z Nyaek koło Nowego Jorku, nieśmiały i milczący, dryblas mający 1,93 m wzrostu interesował się inną Ameryką. Fascynowało go „szkaradne piękno” amerykańskiej architektury z jej tandetnym naśladowaniem europejskich stylów. Lubli ponadto malować puste pla-

że nadmorskie, opustoszałe ulice o brzasku w niedziele. Interesowało go i niepokoiło światło słoneczne na ścianach domów, chłodny półmrok krajobrazu, jaskrawy blask neonów wśród późnej nocy nad barem, w którym siedzi kilku zapóźnionych klientów.

Wśród surowych kompozycji budowanych z linii horyzontalnych, wertykalnych, diagonalnych wylania się w jego dziełach naga dziewczyna przy oknie, półnaga kobieta w pokoju hotelowym, znużona parka w barze, szef i jego sekretarka pracująca nocą w biurze. Oddawał w swych dziełach nastroje pustki, wyobezwania, zagubienia, i nastroj ten odczytujemy w jego obrazach samotnych mostów, w zimnym świetle morskich latarni, we wnętrzach salonów fryzjerskich i sal kinowych.

Nie ulegał wpływowi modnych kierunków malarstwa europejskiego. Trzy podróże, jakie odbył w latach 1906 do 1910 do Europy, podczas których zapoznał się dokładnie z impresjonizmem, nie wywarły na jego twórczość żadnego większego wpływu. „Jedynym wpływem, któremu ulegałem, pochodził ode mnie samego” — powiedział kiedyś.

Przez długie lata nie przyjmowano jego obrazów na wystawy. Zara-



Edward Hopper przed swoim letnim domkiem

biał na chleb jako ilustrator i rysownik handlowej reklamy. Miał już ponad lat 40 kiedy jego sztuki, akwarele i obrazy olejne zaczęto uznawać za dzieła sztuki i mógł je sprzedawać.

„Sztuka jakiegoś narodu — pisał — jest wtedy największa, kiedy odzwierciedla charakter danego narodu”. Był jak go określa teraz krytyka „milczącym świadkiem amerykańskiego życia”. Wraz z żoną Józefiną, która często służyła mu jako modelka, Edward Hopper wędrował autem poprzez amerykański kontynent i malował. Malował słupy telefoniczne i szopy, halle niedźnych hotelików, wierzchołki Vermontu, skaliste wybrzeża Oregonu, góry Kalifornii, „Poranek w Karolinie”, czy „Zmrok w Pensylwanii”.

Zawsze był mało mówny. „Gdybym potrafił wypowiedzieć się słowami — pisał — wtedy nie potrzebowałbym malować”. Znany powieściopisarz amerykański John Dos Passos wspominał Hoppera: „Czasem miało się wrażenie,

że chciał coś powiedzieć, ale nie mówił”. Obecnie Whitney Museum, które w latach 1950 i 1964 urządziło retrospektywne wystawy Hoppera, zorganizowało wielką wystawę prac tego malarza. Znajduje się tutaj 1500 dzieł: obrazów olejnych, akwareli, sztychów, rysunków, szkiców — o wartości miliona dolarów. Wielki i cenny ten dorobek zapisał malarz Whitney Museum. Ale dyrektor tego muzeum, przyjaciel osobisty malarza, dowiedział się o tym darze dopiero z testamentu otwartego po śmierci Hoppera. Część dzieł pozostała w muzeum. Reszta będzie sprzedana. „Ale całkiem, całkiem powoli” — powiedział dyrektor muzeum Goodrich.

### „ORGHAST”

Zachodziło już słońce i okolicę ogarniał powoli mrok. Ludzie przebrnęli już przez labirynt ruin starożytnego miasta Persepolis obok obecnego Szirazu. Potem górska ścieżka posuwała się w górę, by wreszcie dotrzeć do płaskiej powierzchni na zboczu. Zapadła ciemność. Nagle posłyszano kobiecy głos, ni to jęk ni to śpiew. Ów głos wyrażał jakąś skargę w tajemniczym, nieznanym języku. Jękiwała melodia płynęła przez okolicę. Po chwili, skądś z dołu czy z góry, odpowiedział zawodzeniu kobiety chóralny śpiew. A wtedy z nieba zaczęła spływać ku ziemi, ku ludziom, wielka ognista kula. Z mroku wyłoniła się jakaś postać. Był to mężczyzna, który od płomiennej kuli zapalił pochodnię. Pochodnia ta, jak i zapalone wkrótce inne, płonęła aż do świtu.

Kim byli ci ludzie przesuwający się w mroku obok ruin dawnej stolicy Persji? Co się działo tej nocy w okolicach Szirazu?

Ci ludzie to aktorzy oraz widzowie, którzy przyszedli tu oglądać niesamowity spektakl wyreżyserowany przez Petera Brooka, widowisko urządzone na miejscu gdzie niegdyś wznosiła się stolica Persji, Persepolis. Spektakl zorganizowano w ramach festiwalu, w związku z uroczystościami w październiku obchodu 2500-lecia Iranu (kraj ten od cza-

ków starożytnych do roku 1935 nazywał się Persją). Dwa i pół tysiąca lat temu Dariusz I założyciel perskiego imperium objął władzę (321 r.p.n.e.).

Peter Brook zmontował ciekawe i oryginalne widowisko w stylu którego ojcem są Antonin Artaud, Julian Beck i Jerzy Grotowski, czarpiąc do swego zamysłu elementy z tragedii greckich, z legend i mitów greckich i staroperskich, z pism Seneki, z tekstów Zaratustry, legendarnego reformatora religii staroperskiej. Widowisko, którego naturalna scena na zboczu góry wynosiła 200 m na 80 m, rozgrywało się w nocy pod gołym niebem. Widzowie, przemieszani z aktorami poruszali się wraz z nimi przemierzając nieraz po kilkadziesiąt czy nawet kilkaset metrów.

Zamysłem reżysera było, aby język w jakim mówią aktorzy (nie tyle mówią, co krzyczą, jęczą, wołają, śpiewają) był przez samo zestawienie dźwięków, intonacje, melodie słowa, natężenie emocjonalne, zrozumiałą dla każdego z widzów. Grupa teatralna składała się z 20 aktorów pochodzących z dziesięciu krajów o różnych trady-

cjach kulturowych: Brook i autor tekstu, poeta Ted Hughes stworzyli nowy język „orghast” i taki to właśnie tytuł dał swemu widowisku. Ów język oparł na elementach fonetyki języków starożytnych (greckiego i staroperskiego). Muzykę napisał Iannis Xenakis, a grała orkiestra telewizyj irańskiej. Wykorzystano też głos Cathy Berberian, Amerykanki pochodzenia irańskiego. Jej śpiew, zarejestrowany na taśmie magnetofonowej, odtwarzano przez głośniki umieszczone w różnych miejscach ruin. Widzowie mieli nieraz wrażenie, że słyszą cały chór kobiet ukrytych za kolumnami czy kamiennymi schodami.

O brzasku umilkły śpiewy, zakończyły się przedstawiane widoczności z tragedii i mitologii starożytnych. Zniknęli aktorzy. I oto zobaczono jak przesuwa się wolno jakiś człowiek prowadzący szarą krowę z uwiązany u szyi dzwoneczkiem. Po chwili umilkł dzwoneczek, człowiek prowadzący krowę oddalił się. Takie było zakończenie widowiska — symbol powrotu do powszedniego, codziennego życia.

### MEBLE DZIELAMI SZUKI

Paryski malarz François Arnal propaguje wprowadzenie dzieł sztuki do mieszkań w jeszcze większym stopniu niż czyniono to dotychczas. I tak np. prócz projektowanych przez artystów mebli, lansuje on stoły na których widnieją reprodukcje dzieł

współczesnych malarzy. Biał takiego stołu, po odjęciu od niego nóg, można powiesić na ścianie jako obraz. Stół taki kosztuje 1.000 franków. Podobno w Paryżu jest tylu chętnych do kupowania tego rodzaju mebli-dzieł sztuki, że Arnal zajęty przy ich sprzedawaniu może malować tylko nocą.



Francois Arnal za stołem — obrazem



Edward Hopper: „Noce cienie”.



## WŁÓKNIARSKA RZECZYWISTOŚĆ

CO Z KONKURENCJĄ? — DWADZIEŚCIA LAT W JEDEJ KSIĄŻCE — FELIETON JEST ULOTNY — WSPÓLNIE DZIAŁAMY — PRZEMYSŁOWY PEJZAŻ — WŁÓKNIARSKA MATERIA KSIĄŻKI — BEZ OWIJANIA W BAWELNĘ

Z ciekawością i profesjonalnym zainteresowaniem śledzam zawsze po książkach, będące summą felitonowego dorobku autora. Zawsze dobrze wiedzieć, co słyhać u konkurencji.

Z tym samym więc zawodowym zainteresowaniem śledzałem po tom felitonów Ryszarda Klimczaka „Bez owijania w bawelnę”. Ale nie tylko. Znam przecież autora jako energicznego szefa włóknarskiej gazety „Nasze Życie”, znam go, zresztą nie tylko jako szefa... Znam poza tym dość dobrze jego twórczość — wyrosłe z partyzanckich przeżyć powieści „Czas-karabin” i „Raport Ilustrowany” — cenię jego

pisarstwo oparte o prawdę i fakt, przerastające ramy prozy pamiętnikarsko-dokumentalnej, wchodzące na teren literatury. A tu raptem feliton! Współczesny, polityczny, obyczajowy... Inny rodzaj, inny gatunek, inne realia i tematyka. Dwadzieścia lat publicystycznej działalności Ryszarda Klimczaka złożyło się na tę książkę. Można więc mniemać, że wybór jest tylko maleńką cząstką publicystycznego piśmiennictwa autora. Nie wiem, jakie były kryteria autorskiej i wydawniczej selekcji, ale efekt jest dobry.

Feliton z natury rzeczy bywa formą ulotną. Felitony — znaczy przecież listek, plutek — które

wiatr i czas unosi bardzo szybko. Krótkie jest życie felitonu — taka jego uroda. Ale te, pisane na przestrzeni dwudziestu lat, felitony, oparły się czasowi. Ich myślowa nośność była poważna, choć pisane są lekko. Ich ciężar gatunkowy jest poważny i wiatr dziesięcioleci nie uniósł ich i nie rzucił daleko poza granicę współczesnych problemów i zainteresowań.

We wstępie wydawcy czytamy słowa Tadeusza Papiera: „Felitony Klimczaka są wciąż aktualne (...) Autor ujawnia śmieszności, demaskuje bezużyteczność, obnaża głupotę, uświadcza ostrzem satyry podcięcie korzenie zła, egoizmu i zwykłego niedbalstwa”. Słowem „u konkurencji” słyhać mniej więcej to samo, co u mnie. Dlatego też stosunek do tej książki felitonisty-recenzenta jest taki, jak do przyjaciela i sojusznika. Wspólnie coś tam próbujemy zdziałać, z tym, że Klimczak robi to na terenie nieporównanie szerszym.

Zakres tematyczny jego felitonów — realia, przykłady, problemy — dotyczą spraw różnorodnych, choć najogólniej mówiąc, obraca się on w kręgu przemysłowego pejzażu, co jest zresztą zro-

zumiałe. Tego określenia nie wolno zresztą traktować dosłownie. Nie są to felitony „fabryczne”, dotyczą przecież spraw bardzo różnorodnych, ale jedno podkreślić trzeba mocno. Otóż książka Klimczaka jest jedną z nielicznych publikacji, penetrujących w sposób lekki i nieraz satyryczny wielki pejzaż przemysłowy ze wszystkimi jego sprawami.

Jeśli będzie to problem obyczajowy, (np. urlopy), zawsze w jakiś sposób opiera się on o realia fabryki, jeśli będzie to problem bezdużności, zawsze w jakiś sposób opiera się on o fabryczne realia... I tak dalej i tak dalej. Nie znaczy to — absolutnie, że jest to książka o zawężonym zakresie. Wręcz przeciwnie! Sprawy, które porusza Klimczak, sprawy, które wyszydza i piętnuje, dotyczą przecież nas wszystkich. Ale materia, z jakich utkane są owe felitony, jest właśnie... bawelniana, włóknarska, fabryczna. To właśnie przemysłowy pejzaż obyczajowy, produkcyjny, społeczny — dał Klimczakowi materiał do poczynienia szerszych uogólnień.

Dzięki temu sprawy zawarte w książce Ryszarda Klimczaka nie są wydumane i abstrakcyjne, trzy-

mają się mocno ziemi i współczesności. Nieraz autor odchodzi nieco od konwencji felitonu, już to w stronę poważnej publicystyki, już to w stronę humoreski. Ale nigdy nie wpada w modne, lecz nieopaste igraszki słowne, rozważanka abstrakcyjne, czy piętrzone układanki kalamburów, zrozumiałych dla grupki wjałmniczo-

nych. „Bez owijania w bawelnę” nazywa się ta książka i jest to rzeczywiście felitonistyka wyrosła z dobrych tradycji obywatelskiej troski, felitonistyka prosta, bez pokrętnych aluzyjek, mówiąca wprost o trudnych sprawach współczesności. Właśnie — wprost, bez owijania w bawelnę.

W tej książce zawarł Ryszard Klimczak nie tylko swoje dwudziestoletnie doświadczenie publicystyczne. Znajomość spraw, dogłębna wiedza o tym, co nazwałem przemysłowym pejzażem, wywodzą się także z doświadczeń wieloletniej działalności związkowej autora. Napisał on tę książkę nie jako postronny obserwator, lecz ktoś tkwiący od lat w nurcie, najogólniej mówiąc, włóknarskiej rzeczywistości.

JERZY WIDOK

# Bez strachu

## MAŁE ŻYCIE

Ja: Jak żyjesz?

On: Dziękuję, prowadzę małe życie.

Ja: Co to znaczy?

On: Oczywiście nie to, abym mieszkał w małym mieszkaniu, mało jadł.

Ja: A zatem, co to znaczy?

On: Łatwiej mi powiedzieć, czego nie znaczy. Nie znaczy, abym był małego wzrostu, stykał się z małymi przedmiotami, obcował z małymi ludźmi...

Ja: Ale co to znaczy pozytywnie?

On: Nie ma w tym nic pozytywnego, to jest negatywne...

Ja: Co to znaczy konkretnie?

On: Kiedy budzę się rano, patrzę, która jest godzina, myślę, czy wolno mi poleżeć jeszcze przez kwadrans, czy przez pół godziny. Potem myślę, jak długo będę się golił i mył zębami. Potem myślę jeszcze, o której godzinie powinienem wyjść z domu, aby zdążyć tam, gdzie zdążyć powinienem.

Ja: Zatem małość życia, które prowadzisz, polega na życiu małymi odciwkami czasu, bez szerszych, a raczej bez dłuższych perspektyw.

On: To nie zamyka sprawy. Mał są też bohaterowie mojego życia. Koldra, którą się owijam i którą o wywalczony porze zrzucam, potem pan-tofle, tuba pasty i szczoteczka do zębów, mydło, skarpetki, do których jestem tak czy inaczej nastrojony, buty, polyskiwe, bądź brudne.

Ja: Trudno, byś myślał tylko o czasie i o przedmiotach codziennego użytku. A jak ludzie, z kim przestajesz?

On: W zasadzie mały ludzie. Mówią o tym, że obiad lepiej zjeść bez zupy, lub z zupą, że herbata jest bardzo zdrowa, natomiast papierosy szkodliwe...

Ja: Czy nie trafia ci się czasem jakiś duży, ciekawy człowiek?

On: Owszem, wpada czasem do mojego towarzystwa duży, czy nawet



wielki człowiek, tak jak szczapak do stawa z karpami. Ale zamieszanie nie jest długie. Jestem słaby małością swoich słyn. Siedzę obok wielkiego człowieka i zastanawiam się, czy za 15, czy za 20 minut sklonię go do rozmowy o skarpetkach i o mydle do golenia.

Ja: To przykre, że żyjesz takim małym życiem.

On: Ależ ja wcale nie żyję małym życiem, ja tylko prowadzę małe życie, a to coś zupełnie innego.

BERNARD SZTAJNERT



# RUDOWŁOSY MORDERCA

Kobieta miała złotoblonde włosy i figurę, za którą oglądali się wszyscy przechodzący przez park mężczyzn. Jej suknia, choć prosta, wyglądała na model paryski. Jedynym widocznym klejnotem był mały, złoty zegarek na rękę.

Mężczyzna był wysoki, przystojny, w ubraniu nieseryjnym. Także i on miał wygląd dżentelmena.

Spotkali się przed klatką niedźwiedzi, jakby przypadkiem. Potem szli razem ku bramie ogrodu zoologicznego.

— Ile masz dzisiaj czasu? — zapytał.

— Do godziny 17 — odpowiedziała. — Trzy godziny. Staraj się ich nie roztrwonić.

— Dobrze, moja księżniczko. Za bramą wsiadł do małego auta zaparkowanego w alei. Tabliczka w prawym rogu szyby ochronnej wskazywała, że wóz należy do Agencji Conway, wynajmującej samochody.

Gdy para oddalała się, z parku wyszedł jakiś chudy człowieczek, wskoczył do swego samochodu i zaczął ich dyskretnie śledzić.

Para zatrzymała się niedaleko zwierzyńca, w motelu na 60 Ulicy. Mężczyzna pochylił się nad podanym przez urzędnika rejestrów i wpisał: Thomas Jones i pani. Adres — Texas. Potem skierowali się do wyznaczonego pokoju.

Chudy człowiek zaparkował auto w odległości pięćdziesięciu metrów, skąd obserwował motel.

Kwadrans po 17 para się zjawiała. Mężczyzna odprowadził blondynkę na postój taksówek. Nim się pożegnali, zapytał: — Czy wiem się kiedyś kim jesteś, księżniczko?

Kobieta spojrzała na niego poważnie. — Nie zazwyczaj znów od początku, chcęz wszystko zniszczyć.

— Jestem tylko człowiekiem — odpowiedział spokojnie. — Moja ciekawość jest zupełnie naturalna. Schodzisz oto z nieba w moje ramiona, jak bogini z mitologii greckiej, która zdecydowała się wziąć sobie kochanka na ziemi. Mamy dla

siebie kilka godzin, a potem wracasz na Olimp. Czy tak będzie zawsze?

Uśmiechnęła się. — Widzę, że dużo czytasz.

— Dlaczego zmieniasz temat? Dlaczego nie mogę wiedzieć kim jesteś?

Położyła mu palce na wargach. — Czy nie pamiętasz, jaką zawarliśmy umowę? Ja nie będę zadawała pytań i to samo obowiązuje ciebie. Czy ja się mieszam do twoich spraw? Nawet cię nie zapytałam, gdzie pracujesz.

— Powiedziałem ci przecież, jak się nazywam.

— Nie pytałam cię o to. Zacytuj Szekspira, jak to często robisz: i co to znaczy imię?

— Ale dlaczego? — niecierpliwili się mężczyzna. — Dlaczego otaczasz się tajemnicą? Jesteś mi kochankami od trzech miesięcy, a ja nie wiem o tobie. Gdybyś mi choć wyjaśniła przyczynę tej tajemnicy.

— Gdybym ci powiedziała, jak się nazywam, wiedziałbyś kim jestem.

— Czy to znaczy, że jesteś sławną kobietą?

— Ja nie, lecz moje nazwisko jest bardzo znane. O mnie na pewno nie słyszałeś, lecz o moim... ojcu — tak.

— A więc? — zapytał marszcząc czoło.

— Gdybyś poznał moje nazwisko, wszystko skończyłoby się między nami.

— Dlaczego?

— Dlatego, że tak. A teraz przestań mnie pytać. Bo dowiesz się za wiele i w tym momencie skończy się wszystko.

Wydawał się wstrząśnięty. — Muszę się zgodzić — szepnął.

Wyskoczyła z samochodu. — Zobaczymy się w piątek o tej samej godzinie i na tym samym miejscu, dobrze?

— Zgoda, przyjadę — odpowiedział.

Blondynka weszła do pierwszej wolnej taksówki. — Proszę 42, Forsyth 24 — rozkazała szoferowi. Gdy auto skręciło, wyjechała z torebki obrączkę i pierścionek z brylantem. Wsunęła je na palec. Może zrobiła dziś źle

mówiąc tak wiele — myślała oparłszy się o poręcz siedzenia. O mało nie powiedziała „mój mąż”, potem zmieniła na „ojciec”. Gdy się kiedyś dowie, wszystko się skończy. Ucieknie od niej jak od osoby zadziwionej. Lecz czy to z jej strony uczciwie narażać go na takie niebezpieczeństwo? Trudno, kocha go i nie chce utracić. Gdyby King się dowiedział, że jego żona nie jest mu wierna...

★ ★ ★

King Indelicato, wódz organizacji gangsterskiej, mierzył około dwóch metrów i ważył ponad sto kilo. Teraz siedział w fotelu za biurkiem w swej prywatnej kancelarii i rozmawiał z chudym człowiekiem. — Mów, Cutter — rzekł.

— Wczoraj około godziny 14 spotkała się z mężczyzną przed klatką niedźwiedzi w Parku Bryant. Typ około trzydziestu lat o sympatycznej twarzy, dobrze ubrany. Wyszedł z ogrodu i pojechał do motelu na 60 Ulicy. Był tam od 14 do 17. Potem odwiózł ją na postój taksówek.

— Kim jest ten mężczyzna? — zapytał obojętnym tonem Indelicato.

— Nie udało mi się wczoraj wykryć, ale postaram się to zrobić przy dalszym ich śledzeniu.

— Czy nie pojechałeś za nim, gdy się pożegnali?

— Naturalnie — odpowiedział Cutter — ale mi uciekł. Prowadził samochód wynajęty w Agencji Conway, zapisałem numer, lecz tam nie chcieli mi podać jego nazwiska. Wróciłem do motelu, zarejestrowałem się jako Thomas Jones i pani, z Texasu. Prawdopodobnie nazwisko i adres fałszywe. Następnym razem już mi nie uciekną.

— Nie będzie już następnego razu — przerwał Indelicato. Wyjął z portfela 200 dolarów i rzucił je na biurko.

— Oto masz taryfę za trzy dni pracy, nie potrzeba, abyś tym zajmę. — King położył go skłineniem ręki. Po odejściu Cuttera wszedł do pokoju atletryczny służący.

— Co pan rozkazuje? — zapytał.

— Słuchaj, Simp, musisz mi natychmiast sprowadzić Bernarda Silvera.

— Już się robi, szefie. Wkrótce wstąpi do biura Silvera. Usiadł i zapalił papierosa.

— Co znów masz na myśli, King? — zapytał.

Gospodarz obserwował szupłą twarz zawodowego mordercy. Mimo swej potężnej postaci nie czuł się nigdy pewnie w jego obecności.

— Mam dla ciebie robotę, Bernard.

— Czy twoi chłopcy nie kra-

żą już z nożami w kieszeni?

— To jest sprawa szczególnej wagi, nie mam do nich zaufania.

— Chyba tak jest naprawdę, jeżeli decydujesz się zapłacić moją taryfę. Nie pracuję często, a gdy to czynię, musi dobrze kosztować.

— Wiem. Ten interes wart jest pewnie dziesięć kawalków.

— Ustalam cenę w zależności od pracy, muszę najpierw wiedzieć o co chodzi.

— Czy znasz moją żonę Marion? — zapytał Indelicato.

— Nie miałem przyjemności jej poznać.

— Ma 25 lat, jesteśmy małżeństwem od trzech lat. Dałem jej wszystko, co posiadam. Mianowałem ją spadkobierczynią całego majątku, choć ona o tym nie wie. Poślubiając mnie wiedziała kim jestem i jak pracuję. Nie uznaję rzeczy połówicznych, wszystko dla mnie lub nic.

Rude brwi Silvera uniosły się pytająco.

— Nie pozwolę, aby w jej życiu istniał drugi mężczyzna. Podejrzewam ją od dwóch miesięcy. O zdradzie mówią jej dokładne wyjaśnienia o tym gdzie przebywała i co tam robiła, gdy ją pytam jak spędziła dzień. Trzy dni temu wynajęłam prywatnego detektywa, który chodził za nią. Nazywa się Amos Cutter, znasz go?

— Nie, nie znam.

— Taki chudy, niepozorny człowieczek, ale rozumie się na rzeczy no i potrafi milczeć. Już się nim postugiwałem w innych sprawach. Okazało się, że moje podejrzenia są uzasadnione. Marion spotyka się z kochankiem. Zwoiniłem Cuttera, gdyż nie chcę, aby się dowiedział kto jest moim rywalem. To ty musisz wykryć.

— Przypuszczam, że mi się uda, jeżeli spotkają się jeszcze raz.

— Na pewno się zobaczą — warknął Indelicato. — Ja mieszkam na 42 Ulicy, Forsyth 27. Obserwuj dom od jutra. Marion musi spotykać się z nim w ciągu dnia, bo wieczorem jest ze mną. Nie będziesz miał trudności z rozpoznaniem mojej żony. Blondynka, dość ładna.

Nosi pierścionek z pięciokaratowym brylantem. Pokażę ci jej fotografię.

Otworzył szufladę biurka i wyjął kopertę, którą podał rudowłosemu mężczyźnie. Silver nie otworzył jej zaraz. — A jeżeli ten mężczyzna nie będzie jej kochankiem? — zapytał.

— Może twoja żona stawia na konie wyścigowe w tajemnicy przed tobą i spotyka się z bukmacherem?

— Myślę, że nie. Naturalnie, musisz się upewnić.

— A teraz powiedz mi, co mam z nim zrobić? Czy mam go wykończyć?

— Oboje, Marion i kochanka.

I chciałbym, żeby wiedzieli, że to jest mój prezent.

— Nieprzyjemnie jest zabijać kobietę i dlatego taryfa będzie wyższa.

— Powiedz, ile chcesz.

— Dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Zrobione. Połowa teraz i połowa później, zgoda?

— Wszystko razem po zakońzonej robocie. Wiem, że nie zrobisz mi kawału.

— Na pewno nie.

się otworzyły i Bernard Silver wrócił. Zbliżył się do biurka, wyjął ostrożnie niedopałek i schował do kieszeni. Potem zwrócił się do zdziwionego Kinga. — Mój drogi, muszę ci powiedzieć, że nie umiesz opisywać ludzi. Do diabła, czy nie wiesz, że twoja żona jest kobietą o niespotykanej piękności?

Indelicato wybałuszył oczy. — Co to... co to znaczy ta historia?

— Otóż znalazłem sposób, że-



Bez podpisu

Rys. Assen Grosew

Lecz Silver już go nie słuchał. Otworzył kopertę i przyglądał się twarzy kobiety. Patrzył długo zamyślony.

— Jeszcze coś — dodał Silver. — Policja ma zwyczaj wzywać mnie, gdy ktoś zostanie zabity w tajemniczych okolicznościach.

Zapytają także ciebie, jako jednego z pierwszych podejrzanych. Ja będę miał żelazne alibi, sądzą, że ty także postarasz się. Ale byłoby niedobrze, gdyby ktoś wiedział, że się spotkaliśmy.

— Poza Simpem nikt nie wie, że przyszedłeś do mnie.

— A więc jesteśmy w porządku — stwierdził Silver. Rzucił fotografię na biurko, ukłonił się i wyszedł.

Ludwie King zdążył schować kopertę do szuflady, gdy drzwi

by zrobić lepszy interes. Nie powinien był mi powiedzieć, że Marion jest twoją spadkobierczynią. Zamiast wziąć dwadzieścia tysięcy dolarów ożenił się z bogatą wdową.

King przycisnął nogą drzwonek ukryty pod biurkiem. Nie męcz się — upomniał go Silver — twój Simp nigdy cię już nie usłyszy chociaż jest w drugim pokoju. — To mówiąc wyjął z kieszeni sprężynowy noż.

— Co ci wpadło do głowy? — krzyknął przerażony Indelicato. — Znam dobrą kobietę, której fotografie mi pokazałeś.

Wpatrując się w błyszczące ostrze King pomyślał, że Cutter zapomniał mu powiedzieć, iż kochanek Marion miał rude włosy.

A. S.

## „RÓBCIE MIŁOŚĆ, NIE WOJNĘ!”

Jeżeli nie sztywniejesz jak kij słysząc takie powiedzenie,

jeżeli pisanie z dużej lub malej litery nie jest dla ciebie „świętą krową”,

jeżeli w ogóle lubisz krowy i inną zwierzyńcę, ale nie świętą,

jeżeli chcesz realizować motto podane na początku (włącznie z małżeństwem),

jeżeli nie możesz lub nie chcesz mieć dzieci,

jeżeli nie uważasz milczenia za pogardę a troski za nudę,

jeżeli nauka nie jest ci obcym słowem (filozofia, pedagogika),

jeżeli nie lekceważysz sztuki — literackiej, plastycznej (potrzebują niekiedy modelki) — a jednocześnie rozumiesz, że ktoś może czytać rzeczy dla znawców a nawet gapić się na kolorowe płótna,

jeżeli chcesz pograć się w wyobraźni, jeżeli chcesz zarówno mini jak maxi a nawet spodnie (włącznie z „gorącymi spodenkami” hot pants),

jeżeli potrafisz być naiwna i wygłupić się, nie boisz się czarnego humoru i nie zawsze omijasz z daleka jazzowe i beatowe lokale —

to — proszę — zastanów się, czy mogłabyś poślubić pana w latach czterdziestych, młodo wyglądającego, o wysokości 0,00175 km, znacznie mniejszej szerokości, o wadze ca 0,075 tony, niezbyt tłustego, biorącego emancypację kobiet tak poważnie, że sam włada chochlą i innym narzędziem, pana, oczekującego oferty ilustrowanej zdjęciem pod szyfrem: ZT... itd.”

NATASZA I PIOTR

„Lat 8, długie włosy; lat 33, wzrost 172 cm, włosy



## Lewym okiem

### NIE ZAPOMNIEĆ O ZDJĘCIU!

Tygodnik nasz nie zamieszcza, jak wiadomo, ogłoszeń matrymonialnych ani zresztą żadnych innych. Codzienne pisma łódzkie czasem podają tylko drobniutki ogłoszenia o biurach matrymonialnych pośrednictwa. Prawdziwe matrymonialne anonsy, takie, o jakich Boy w jednym ze swych uroczych felietonów pisał patetycznie: „tak oto nawołują się i szukają ludzie w przerażających mrokach kosmosu” — znaleźć można rzadko i w b. nielicznych pismach, a w których — nie potrafią nawet (poza „Kulisami”) wymienić.

Rubryka ogłoszeń matrymonialnych ma swoich przysięgłych czytelników i koneserów. Znajdują w niej symptomy obyczajowości, znaki epoki, przesłanki do zamyślenia nad naturą ludzką, satysfakcje zbierackie. Znajdują? Przecież te ogłoszenia zamykają się w paru stereotypowych, lakonicznych, bezbarwnych słowach, są ubożutkie, bez fantazji, rzeczowe jak anons o sprzedaży kredensu. To jest też rys obyczajowy, ale właśnie ten odbarwiający, banalizujący sprawę. Co innego takie np. ogłoszenia (autentyczne!) z hamburskiego tygodnika „Die Zeit”, z jednego tylko dnia 10 września. Poczytajcie, hobbyści, odpocznijmy tym razem od absurdów i niedomogów naszej codzienności; oto pełni polotu i dowcipu kandydaci do stanu niekoniecznie małżeńskiego, ale w każdym razie do życia we dwoje: